WTOREK Nr 129 28 XII 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

STARY DOKTOR wśród harcerzy z Sierpca

(Inf. wł.) Harcerze z Sierpca (woj. płockie) uczcili pamięć Starego Doktora zlotem drużyn noszących imię Janusza Korczaka. Honory gospodarzy pełnił szczep sierpeckiego Liceum Ogólnokształcącego. „Korczakowcy" przygotowali program artystyczny: 9 drużyna ze Szk. Podst. nr 3 recytowała wiersze o Korczáku, 29 drużyna z LO wystawiła fragment z „Króla Maciusia I", 51 drużyna z ZSZ nr 2 przygotowała przepiękny album rysunkowy. Tradycyjną Niezapominajkę, czyli korczakowskie wyróżnienie otrzymała Bożena Cendiecka za wiersz o Starym Doktorze i krąg instruktorski ze szczepu LO za piosenkę „Ballada o Korczaku". Goście, a wśród nich także Komendant Chorągwi Płockiej Andrzej Markowski, obejrzeli potem wystawę pamiątek po Starym Doktorze, skrzętnie gromadzonych przez Szczep LO. Harcerze z Sierpca zebrali biblioteczkę prawie wszystkich wydań książek Janusza Korczaka!

Niecodzienna zbiórka harcerska w Sierpcu trwała trzy godziny. Najwięcej emocji wywołała dowcipna inscenizacja „Króla Maciusia", którą wszyscy goście długo oklaskiwali **(jz)**

TWIERDZĘ, WĄTPIĘ, PYTAM

Twierdzę, że z nauczycielami nie można się dogadać.

Wątpię, czy szkoła uczy wszystkiego, co jest naprawdę potrzebne.

Pytam, czy jest możliwe, żeby wszyscy lubili szkołę?

Twierdzę, wątpię, pytam...

A Ty? O czym Ty możesz twierdzić z całym przekonaniem? W co wątpisz najbardziej? Jakie pytanie stało się dla Ciebie najważniejsze? Zastanów się i napisz – w kilku zdaniach lub z szerszym uzasadnieniem. Czekamy na twierdzenia, wątpliwości i pytania, wyrażające poglądy i zainteresowania wszystkich czytelników „Świata Młodych" we wszystkich możliwych sprawach.

Więc... Co Ty twierdzisz, w co wątpisz, o co pytasz? Czekamy na Twoją wypowiedź. Na kopercie zaznacz: T W P

Uwaga – Tu „Latający Holender"!

Zapraszamy członków Klubu Zdobywców Oceanów oraz wszystkich miłośników morza i wielkiej przygody **dziś o godzinie 16.00** przed telewizyjne ekrany na spotkanie ze znanymi podróżnikami i autorami licznych książek – małżeństwem Centkiewiczów. W programie również – rejs jachtem „Gedania" na zimny kontynent, nieznani polscy odkrywcy i podróżnicy oraz sprawy klubowe. **(wm)**

ZADANIE DLA NAJMOCNIEJSZEGO

Najmocniejszemu w matematyce z klasy VI polecono odgadnąć pewną liczbę naturalną. Czworo uczniów podało mu takie „dodatkowe dane" o tej liczbie. Jurek: – To jest liczba pierwsza. Kasia: – To jest 9. Bolek: – To jest liczba parzysta. Ela: – To jest 5. Najmocniejszy wie, że z obu par chłopcy lub dziewczęta zawsze mówią prawdę. Jaka to więc liczba?

Wytnij, zachowaj, przekaż innym

HARCERSKIE NAUKOWE LATO – 1983

Podczas trwania lata – 1983 zostanie zorganizowanych kilkanaście obozów poświęconych sprawom nauki i kultury, dla uczniów interesujących się szczególnie jakąś określoną dziedziną wiedzy. Każdy, kto chce w nich wziąć udział powinien do dnia 31 stycznia 1983 nadesłać zgłoszenie zawierające dane osobowe, adres, szkołę, opinię nauczyciela (opiekuna naukowego) oraz krótki opis własnych osiągnięć. Pierwszeństwo w przyjęciu na obozy mają członkowie ZHP.

DZIŚ PROPOZYCJA 5:

Obóz interdyscyplinarny nauk ścisłych zorganizowany zostanie przez **Opolską Komendę Chorągwi ZHP.** Wziąć w nim udział winni wszyscy, którzy interesują się różnymi dziedzinami techniki, nauk ścisłych (matematyka, fizyka, biologia, chemia itp.) i mają zamiar twórczo spędzić czas. Obóz odbędzie się w lipcu w Jarosławcu k. Mielna. Zgłoszenia należy nadsyłać na adres: **Komenda Chorągwi ZHP, Plac Armii Czerwonej 1, 45-043 Opole z dopiskiem „obóz interdyscyplinarny".**

(jt)

FERIE W DOMU...

Nie każdy z Was wyjedzie na ferie w góry, do cioci czy babci. Nie jest to jednak powód do narzekań i zmartwień. Trzeba skrzyknąć się z pozostającymi w mieście koleżankami i kolegami, zorganizować wspólne zabawy w domu... nie zapominajcie jednak o parkach, lodowiskach i spędzaniu wolnego czasu na świeżym powietrzu.

Fot. **W. Wróblewski**

AMFITEATR Z 1600 LUSTER

(PAI). Na Krymie powstaje pierwsza w ZSRR eksperymentalna elektrownia słoneczna o projektowanej mocy 5 tys. kW. Zakończenie pierwszego etapu budowy przewidziano na rok przyszły, a oddanie do użytku całej elektrowni ma nastąpić w 1985 roku. Będzie ona wytwarzać rocznie 10 mln kWh energii elektrycznej.

Wyglądem elektrownia przypominać będzie ogromny odwrócony parasol, składający się z 1600 luster – heliostatów ułożonych na kształt amfiteatru dookoła 80-metrowej wieży. Powierzchnia jednego zwierciadła wynosi 25 m², a średnica całego pola lustrzanego – 500 metrów. Heliostaty zostaną rozmieszczone w ten sposób, aby mogły przekazywać skupione strumienie promieni słonecznych do helioodbiornika, umieszczonego na szczycie wieży. Jest nim słoneczny generator parowy, wytwarzający parę wodną o temperaturze 250°C i ciśnieniu 40 atmosfer, służącą do poruszania turbin.

Wraz ze zmianą położenia Słońca na niebie zmieniać się będzie układ heliostatów sterowanych komputerowo. Przy określonej intensywności promieniowania słonecznego automatyczny system sterowania włączy całą powierzchnię zwierciadlanego pola – albo wyłączy, gdy Słońce skryje się za chmurami. W przypadku pełnego zachmurzenia nieprzerwaną pracę elektrowni zapewnią tzw. akumulatory parowe, które dostarczą potrzebnej ilości pary wodnej do poruszania turbin. **(jo)**

CHOCHOŁ ZAWITAŁ DO BRONOWIC

20 listopada, dokładnie 82 lata po pamiętnym weselu Lucjana Rydla z Jadwigą Mikołajczykówną, opisanym przez Stanisława Wyspiańskiego, odbyła się w krakowskich Bronowicach uroczystość osadzenia Chochoła. Gospodarzem imprezy było Muzeum Młodej Polski w „Rydlówce", a organizatorem Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze.

Kiedy przed dworkiem Rydlów piątka grajków ubranych w ludowe pasiaki zaczęła wygrywać melodie weselne – skoczne polki i krakowiaki – pierwszoklasiści z bronowickiej szkoły ruszyli do tańca. Zamigotały kolorami barwne stroje krakowiaków i krakowianek, zaiskrzyły się setkami cekinów dziewczęce sukienki. Gospodyni chochołowej ceremonii, wnuczka Pana Młodego z „Wesela" i kustosz muzeum – Anna Rydlówna, przypięła gościom do klapy czerwone czapeczki zamiast weselnych wstążek.

Osadzanie Chochoła – impreza odbywająca się w Bronowicach tradycyjnie od 1969 roku, to jest od chwili utworzenia muzeum w domu Rydla – przyciąga corocznie setki osób ciekawych legendy „Wesela"; Co prawda ostatni z weselników – Kuba (Jakub Mikołajczyk) zmarł w 1979 roku, ale żyją dzieci i wnuki gości, którzy – jak wiadomo – stali się prototypami bohaterów dramatu. I właśnie oni, „aktorzy" chochołowego widowiska, przedłużają niejako legendę narosłą wokół zaślubin sprzed ponad osiemdziesięciu lat. Potomkowie Rydlów, Tetmajerów, Mikołajczyków, Susułów i Czepców opowiadają gościom dalsze losy rodziców i dziadków, a także sąsiadów z Bronowic, którzy tak jak Hersz Singer (Żyd z „Wesela") i jego córka Józefina zwana w domu Pepką (prototyp Racheli) przeszli już do historii.

A samo osadzenie Chochoła to po prostu otulenie krzaka róży wiechciem słomy. Na koniec wnuczka Pana Młodego ma dla gości jeszcze niespodziankę – prawdziwy kołacz weselny upieczony na wzór tego, jaki podawano weselnikom w 1900 roku.

TOMASZ ŁAWECKI
Fot. **K. Adamowski**

Autor pomysłu osadzania Chochoła – profesor Stanisław Waltoś osobiście dopełnia ceremonii...

Liga Reporterów

RODZINA I JA

Oboje są mymi przyjaciółmi!

Moi rodzice pochodzą z różnych stron Polski. Poznali się na kolonii. Mama po ukończeniu szkoły i uzyskaniu dyplomu pielęgniarskiego otrzymała pracę w Szczecinie. W mieście tym mieszkamy obecnie, gdyż ojciec stąd właśnie pochodzi. Ojciec pracuje w jednej z fabryk. Mieszkanie mamy „M-3", jednak na 5 osób jest wystarczające. W domu większy autorytet ma matka. Mam rodzeństwo: starszego brata i siostrę w równym wieku (gdyż jesteśmy bliźniaczkami). Rodzice troszczą się nie tylko o to, abyśmy mieli co jeść i w co się ubrać, ale także zajmują się naszymi problemami. Jeszcze nigdy nie widziałam (a żyję już 17 lat), żeby ojciec robił awantury w domu, lub obrażał matkę. Jest dla niej miły, często potrafi się wyrzec wielu rzeczy dla niej. Często gotuje obiady (szczególnie gdy matka wraca po nocnym dyżurze, ale nie tylko), pierze, sprząta. Doszliśmy do wniosku, iż nasz ojciec poświęca się dla rodziny. Często przynosi nam bilety do kina, teatru. W niedzielę wyjeżdżamy własnym samochodem za miasto lub do babci aż do Nowego Sącza. Dba o to aby matka była modnie ubrana, nie pozwala się jej męczyć i troszczy się o jej zdrowie. Natomiast matka stara się być mu za to wdzięczna. Ja z każdą sprawą zwracam się do ojca lub matki, bo wiem, że pomogą mi ją rozwikłać. Ojciec nigdy nas nie uderzył. Nie uznaje tego, że za pomocą rękoczynu można komuś wpoić jakąś zasadę. Mój starszy brat obecnie jest na studiach i wydawać by się mogło, iż jest na tyle dorosły i mądry aby nie kierować się opiniami rodziców, mimo to chce wiedzieć, jakie jest ich zdanie. Kocham rodziców za to iż tacy są. Obecnie jestem uczennicą II LO w Gorlicach – mieszkam w internacie i chcę ażeby moi rodzice dowiedzieli się jak ich cenię.

wdzięczna – „Jarka"

Będę ich naśladował

Rodzice moi pochodzą z najbardziej zadymionego regionu Polski – Śląska. Mama jest pracownikiem umysłowym, a tata górnikiem. Kocham ich i szanuję za trud, jaki wkładają w moje wychowanie. Tata pozwala mi na wszystko, natomiast mama na prawie wszystko. Zawsze gdy gdzieś wychodzę z domu, mama przestrzega mnie, abym uważał na ulicy i nie przebiegał przez jezdnię, jakbym był 5-letnim dzieckiem, które choć mu się mówi i tak robi swoje. Gdy mieszkała z nami babcia, było w domu mniej obowiązków takich, jak np. zakupy, sprzątanie, ale, niestety, dostała mieszkanie i wyprowadziła się. Obowiązki domowe nie są w mojej rodzinie sprawiedliwie podzielone. Całe mieszkanie sprzątam ja, niekiedy także chodzę po zakupy. Ale cóż, mama i tata, gdy wrócą z pracy są bardzo zmęczeni, więc pomagam im jak mogę. W wolne soboty i niedziele jesienią wyprawiamy się na grzyby do pobliskich lasów, a zimą jeżdżę z tatą na narty. W najbliższym czasie chcielibyśmy kupić sobie samochód. Mamy domek jednorodzinny, mamy prawie wszystko, lecz najcenniejszą rzeczą jest szczęście i miłość naszej rodziny.

Gdy będę miał już swoją własną rodzinę spróbuję naśladować moich rodziców, spróbuję poświęcać się dla moich dzieci i wychowam je na godnych obywateli naszego państwa.

Karol Pieter (lat 13)

Rozumiemy się dobrze

Mieszkam w domu z rodzicami, młodszym bratem i babcią. Gdy mam jakiś problem, którego nie mogę rozwiązać sam, zwracam się do moich rodziców. Są bardzo wyrozumiali, a każdą prośbę, z którą zwracam się do nich, traktują poważnie. Rozumiemy się bardzo dobrze, nie dochodzi między nami do nieporozumień, jakie prawie zawsze prowadzą do obustronnej utraty zaufania, które tak jest potrzebne.

W mojej rodzinie każdy stara się pomagać drugiej osobie, czy to w lekcjach, czy w pracy, z którą kto inny nie może się uporać. Swoich rodziców kocham i myślę, że oni także są ze mnie zadowoleni. Każdemu z Was życzyłbym, aby takie stosunki, jakie panują w moim domu, panowały w każdej rodzinie.

Roman Kwiatkowski (15 lat)
Krasnystaw
Członek Ligi Reporterów

Jest matką i ojcem

Rodzice rozwiedli się, gdy miałam 9 lat. Był to dla mnie duży szok. Ojciec od wielu lat pił alkohol. Ile to razy w nocy wraz z mamą wystraszone czekałyśmy, kiedy wróci... Tato wracał pijany – były więc awantury, płacze, krzyki. Wszystko to było jednym wielkim koszmarem. Jednak bardzo kochałam tatę i wydawało mi się, że on nas też kocha. Tyle razy prosiłyśmy go, żeby przestał pić – on przyrzekał, ale na drugi dzień znowu przychodził w takim samym stanie.

Po rozwodzie zostałyśmy z naszą kochaną mamą, która była zmęczona już życiem. Wszystko robiła z myślą o nas. Sama chodziła w starym płaszczu, żeby jej córki miały nowy sweter czy spodnie. Swoją troskliwością i miłością zastępowała tak potrzebną w tym wieku miłość ojca i matki. W ogóle nie odczuwałyśmy tego, że żyjemy bez ojca. Pamiętam jak dziś, gdy tato mówił nam, że nas kocha i nigdy o nas nie zapomni. Teraz okazało się, że wszystkie jego słowa były puszczane na wiatr jak bańki mydlane. W ogóle nie utrzymywał z nami kontaktów. Dopiero po pięciu latach napisał list. Lepiej późno niż wcale. Mama sama włożyła w nasze wychowanie tyle cierpliwości i hartu ducha... Dzięki niej siostra dostała się na studia, a ja uczęszczam do szkoły średniej. Gdyby dalej żył z nami ojciec – alkoholik, byłoby to chyba niemożliwe.

Z wielkim niepokojem patrzę więc na młodzież, która pije alkohol. Nigdy nie dopuszczę do tego, aby moje dzieci przeżyły to, co ja przeżyłam. Zanim założę rodzinę, minie wiele czasu – a może wcale nie założę? Może lepiej będzie, jak poświęcę swoje życie dla innych ludzi, którzy potrzebują pomocy drugiego człowieka?

„Młoda"

Ania „ceka", Piotruś czeka i ja czekam...

Marta wpadła do mnie tak jak wpadać tylko ona potrafi – czyli z hukiem.

– Przywieźli trampki do składnicy, lecisz ze mną?!

Poleciałam. Musiałam, bo moje stare miały podejrzanej wielkości wywietrzniki na palcach i pięcie. Kolejka była normalna, tzn. w ogóle się nie przesuwała, była bardzo długa i ciągle słychać było okrzyki typu: „proszę tam nie podchodzić!" „ona tutaj nie stała?", „proszę się posuwać!" Przede mną stała babcia, która pytała się każdego, czy nr 18 będzie pasował na Piotrusia. Kiedy zwróciła się z tym pytaniem do mnie, powiedziałam, że albo będą dobre albo nie, czym uspokoiłam babcię. Tak na marginesie, to nigdy tego Piotrusia nie widziałam. Po długim oczekiwaniu dostałam wreszcie paragon i poszłam do kasy. Kasjerka nie miała bilonu i obie z babcią musiałyśmy czekać. Przyszła Marta i jak to zwykle ona, wybawiła mnie z kłopotu. (Marta nosi zawsze dużo drobnych. Gdy ma „całe" rozmienia je, bowiem lubi jak jej brzęczy w kieszeni). Tak więc babcia jeszcze stała przy kasie, gdy ja ściskając w ręce trampki nr 23 byłam z Martą w drodze do domu. Szłyśmy w milczeniu. Dobrze, że chociaż mam te trampki – myślałam. Z Martą pożegnałam się przed moim domem. Kiedy weszłam do siebie (tak nazywamy nasz pokój – my – czyli ja i moja siostra) zaczęłam przymierzać trampki. Nawet nie weszły na moje nogi! Wściekła a zarazem zdziwiona spojrzałam na podeszwę. No tak, trampki miały nr 19! Musiałam się pogodzić z losem. Trudno, moje nogi będą się „wietrzyć" w starych trampkach, a te (nr 19) dam Ance (młodszej siostrze). Co prawda ona nosi nr 17, ale noga jej może podrosnąć i wtedy te będą jak znalazł. Tak więc teraz w Krakowie panuje moda na czekanie. I co ciekawe, to ja ją wprowadziłam zupełnie przypadkiem. Ania „ceka" na te Piotrusiowe trampki (może się doczeka), Piotruś na moje (będzie musiał długo czekać), a ja czekam na nową dostawę. Z nas wszystkich ja będę najdłużej czekać (bo czy na dostawę można liczyć?). Ciekawe czy nam się nie znudzi.

„Basiorek"

Spotkania

PYTANIA I ODPOWIEDZI

Ile czasu potrzeba, żeby poznać człowieka? Czy można precyzyjnie odpowiedzieć na to pytanie?

Ile czasu potrzeba, żeby poznać przyjaciela? Przysłowia mówią o zjedzonej wspólnie beczce soli, o biedzie, która jest przyjaźni próbą. Ale czas... Ile potrzeba czasu?

Spędziłem z Wami dotąd sto pięćdziesiąt godzin. Może jest to czas przybliżony, ale tyle go mniej więcej potrzebowałem do odbycia wszystkich naszych spotkań, z których dzisiejsze jest spotkaniem pięćdziesiątym. Sto pięćdziesiąt godzin, ponad sześć dni, niecały tydzień...

A Wy? Nawet zakładając, że ktoś z Was spotykał się ze mną co tydzień, w każdy wtorek, od tamtego listopadowego sprzed roku, z trzymiesięczną przerwą, kiedy to nasze spotkania uległy zawieszeniu, nawet zakładając taką sytuację – ile to Wam mogło zająć czasu? Może dwieście minut, nieco ponad trzy godziny...

Niecały tydzień, nieco ponad trzy godziny... Dużo to czy mało?

Rozmawialiśmy o różnych sprawach, częściej skomplikowanych niż prostych, nie zawsze jednoznacznych, nigdy dalekich i nas nie dotyczących. Tak mi się w każdym razie wydawało.

Rok temu pisałem o Naszym Wspólnym Miejscu, w którym tyle wciąż niepokoju i obaw, trudności i kłopotów, ale przy tym wszystkim i nadziei.

Od tamtego listopadowego wtorku minęło długich dwanaście miesięcy. Niepokou i obaw jakby mniej, trudności i kłopotów może i więcej. A nadziei?

Za trzy dni będziemy witać Nowy Rok. Wierzę, że wejdziemy weń właśnie z nadzieją – naszą małą indywidualną i tą większą, rodzinną i tą największą, wspólną, polską.

I wierzę jeszcze, że w ciągu dwunastu następnych miesięcy znajdziemy czas i ochotę na nasze dalsze spotkania. Nawet jeśli nie zawsze się dotąd zgadzaliśmy, nawet jeśli usiłowałem Was przekonać do czegoś, czego nie chcieliście zaakceptować, w co nie wierzyliście, czego nie rozumieliście. Nawet wtedy mamy przed sobą jeszcze dużo wtorków na rozmowy, które zbliżają.

Bo ile czasu potrzeba, żeby poznać człowieka? Ile czasu potrzeba, żeby poznać przyjaciela?

Zresztą Wy w tej rozmowie, muszę to podkreślić, jesteście w lepszej sytuacji ode mnie. Wprawdzie to ja mówię, ale Wy możecie mnie po prostu nie słuchać. Wprawdzie to ja przekonuję, ale Wy się możecie ze mną nie zgadzać, nawet bez powiadomienia mnie o tym.

Właśnie. Muszę przyznać, że spiesząc na pierwsze z Wami spotkanie, liczyłem na to, iż podejmiecie rozmowę. Zrobiło to w mijającym roku niewiele osób. Część z nich dzieliła się ze mną swoimi sprawami, część nie zgadzała się z tym, co pisałem. Starałem się nawiązywać do ich listów w kolejnych spotkaniach, a dziś żegnając Stary Rok chciałbym – dziękując wszystkim nadawcom – kilku z nich odpowiedzieć bezpośrednio.

Kruku z Poznania! Mam nadzieję, że inaczej dziś oceniasz sytuację. Może zechcesz napisać do mnie po raz drugi. Anonimowi odpowiedzieć jest dość trudno, a chętnie bym z Tobą porozmawiał.

Druhno Irko z Katowic! Dziękuję za lekcję fizyki i życzenia. Z zarzutu kłamstwa łatwo mógłbym się wybronić, ale nie wiem, dokąd skierować odpowiedź. Co słychać w drużynie?

Staszku i Gośko z Krosna! Cieszę się, że nie zawiodłem Waszych oczekiwań. Jak tam Wasze sprawy?

Baśko z Krakowa! Dziękuję za długi i ciekawy list. Jak tam w liceum? Czy w dalszym ciągu z tych spotkań wieje niesamowicie smrodkiem pedagogicznym? Czy odnalazłaś już siebie? Prosiłaś, bym napisał „coś o Bogu i kościele". Jakoś dotąd mi się nie udało. Przepraszam.

Agnieszko z Warszawy! Podzielam wiele Twoich poglądów. Ale czy rzeczywiście Twoje pokolenie musi być pokoleniem Antykolumbów? Jak tam w nowej szkole?

Andrzeju z Warszawy! Jak łatwo się domyśleć, nie jestem członkiem Konferencji Episkopatu Polski, ale w mojej rozmowie o hymnie „Boże, coś Polskę", nie chodziło mi – przypomnij to sobie – o to, by go w ogóle nie śpiewać. Mam zresztą nadzieję, że problem stał się już nieaktualny. A może byśmy się spotkali i porozmawiali o tym?

Beato z Lubina! Przepraszam, że Cię zawiodłem i nie kupiłem Ci biletów na koncert Izy Trojanowskiej. Uwierz, że sam dla siebie często nie mam na takie rzeczy czasu.

Joanno z Gołymina! Dziękuję za list i za wiersze. Jednym z nich kończę nasze tegoroczne spotkanla:

„Pytasz mnie, jak jest. Mówię, że jest słońce i jest zielono. Mówię, że jesteśmy w lesie i szumią drzewa. Mówię, że jest mi wesoło. Tobie też? To dobrze"

Wielu takich chwil Wam wszystkim!

Janek

REDAKCYJNA POCZTA

Dłużej tak nie może być

Mam ojczyma, którego bardzo nie lubię i który znęca się nade mną. Ma okropny charakter, uważa bowiem, że to co on zrobi, to wszystko dobre, a co inni, to złe. W ciągu dnia nie odzywamy się do siebie prawie wcale, a prawdziwej rozmowy nie prowadziłam z nim nigdy, chociaż jest mym ojczymem od półtora roku. Coraz częściej się kłócimy i robimy sobie na złość. Pogorszyłam się w nauce, nie mogę się uczyć, ciągle myślę, jak zawrzeć z nim zgodę na zawsze. A tak naprawdę straciłam już nadzieję, że kiedykolwiek będzie zgoda między nami, ponieważ godziliśmy się już parę razy, ale tylko na jeden lub dwa dni. Doszło do tego, że nie mogę znieść jego widoku, zdaje mi się, że jest to najgorszy człowiek pod słońcem. Proszę Cię drogi „RP", poradź co mam robić, aby się z nim lubić, bo przecież dłużej już tak nie może być.

„Smutna"

OD REDAKCJI: Nic nie wspominasz o pozostałych członkach rodziny; o mamie, bracie czy siostrze. Żywimy nadzieję, że z jedną z tych osób jesteś związana uczuciowo, jesteś przez nią rozumiana, że przyjaźń z matką lub kimś z rodzeństwa, jeśli je posiadasz, może Ci zapewnić poczucie bezpieczeństwa, ważnego miejsca w rodzinie. Napisz, jak to wygląda, dobrze? A ponadto postaraj się pierwsza wyciągnąć do ojczyma rękę do zgody. To Ty przestań mu robić na złość. Może to go zawstydzi i da mu do myślenia? Jest przecież dorosłym człowiekiem i wchodząc do Twojej rodziny powinien wiedzieć, że Ty masz prawo zawsze na niego liczyć. (bs)

Nic mi nie wolno

Mam już 16 lat, a moi rodzice ciągle uważają mnie za dziecko. Tu nie idź, tam nie pójdziesz, siedź w domu i baw młodszą siostrę (7-miesięczną). Tymczasem moja starsza siostra może chodzić gdzie jej się żywnie podoba. Jednym słowem jej wolno wszystko. Ona mając 14 lat już chodziła na dyskoteki, a ja...? Nie, ja nie mogę, gdy wrócę o godz. 21,45 do domu, to mają wielkie pretensje i spotykam się ze słowami: „Więcej nigdzie nie pójdziesz". Mam chłopaka, co mam mu powiedzieć? Czy to, że moi rodzice nie chcą, abym się umawiała, czy skłamać? Proszę o wydrukowanie tego listu, może rodzice to przypadkiem przeczytają i zmienią postępowanie w stosunku do mnie.

Dorota

Grymas

Piszę o mojej przyjaźni z Ewą. Niedawno do naszej klasy przyszła moja dawna przyjaciółka. „Przyczepiła" się do mnie, wiedząc, że mam inną przyjaciółkę. Ewa i ja chodzimy ze sobą razem, żeby dać do zrozumienia mojej dawnej przyjaciółce, że ja mam Ewę. Ale ona (nie chcę wymieniać imienia) nie daje sobie tego wytłumaczyć. Już nie wiem, co mam robić. Przecież nie zerwę przyjaźni z Ewą (ponieważ przyjaźnimy się już prawie rok) tylko dla grymasu mojej byłej przyjaciółki, która s a m a ze mną zerwała, a teraz się „czepia". Co mam robić? Proszę o pomoc wszystkich czytelników „RP", którzy spotkali się z podobnym przypadkiem.

Załamana Gizela

Dlaczego idiotka?

Jedna z moich koleżanek ciągle nazywa mnie idiotką. Nie rozumiem dlaczego to czyni. Nic złego jej nie zrobiłam. Jednak zawsze słyszę to słowo. Proszę o wydrukowanie tego listu. Może zrozumie, że chcę się z nią pojednać, a nie ciągle być nazywaną idiotką.

Marysia z Va

Kręte ścieżki rolniczej mechanizacji

RECEPTA DLA „ZOSI SAMOSI”

Przedstawiciel Przemysłu Maszynowego stwierdził niedawno, że po wielu miesiącach kłopotów, borykania się z kooperantami i różnych „nawalanek”, „Ursus” po raz pierwszy od kilku lat wykonał plan produkcji. W tym roku z taśmy produkcyjnej zjechało 52 tysiące ciągników. Plany są ambitne. W 1985 r. po rozpoczęciu seryjnego montażu licencyjnego Fergussona produkcja ma być podwojona. Ale na pełne zaspokojenie mechanicznych potrzeb naszego rolnictwa trzeba będzie jeszcze poczekać.

Specjaliści z Instytutu Budownictwa Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa w Krynicy Górskiej wymyślili niezwykły sposób złagodzenia naszego traktorowego impasu. Skonstruowali oni ciągnik, którego podstawowe części: silnik, skrzynia biegów i koła pochodzą z... „malucha”! Do budowy tylnego mostu można wykorzystać podwozie nysy, żuka lub tarpana. Nieosiągalne na rynku opony traktorowe zastąpione zostały „zbliźniakowanymi” (podwójnymi) oponami samochodowymi. Wstępna kalkulacja wykazała, że koszt takiego pojazdu (bez kosztu robocizny) wyniósłby 175 tysięcy złotych wg aktualnych cen.

Pomysł budowania traktorów z części innych pojazdów nie jest oczywiście nowy. Konstruktorzy-amatorzy stworzyli ich już tysiące i trudno uznać efekt racjonalizatorskiego trudu specjalistów z krynickiego IBMER-u za rewelację. Zazwczaj jednak „SAM-y” budowane są metodą prób i błędów, i z przypadkowych materiałów. Nic dziwnego, że spora część tych wehikułów jest na bakier nie tylko z podstawowymi parametrami technicznymi, ale także drogowym kodeksem.

Naukowcy z IMBER-u starają się to „techniczne zachwaszczenie” wyeliminować. Ciągnik zmontowany zgodnie z opracowaną przez nich instrukcją znacznie ułatwi pracę wiejskim konstruktorom, którzy do tej pory zdani byli jedynie na własną pomysłowość.

– *Maszyna pracuje ekonomicznie tylko wtedy, gdy jest zbudowana według reguł sztuki inżynierskiej. Jeśli konstruktor nie posiada podstawowej wiedzy technicznej i każda część pojazdu pochodzi z innej parafii, to pojazd szybko znajdzie się na złomowisku* – mówi **doc. Marian Żernicki**, współautor „maluchowego” ciągnika.

Chciałby także podkreślić inne jego zalety. Najważniejszą z nich jest ujednolicenie części zamiennych, co znacznie zmniejszyłoby kłopoty z reperacją. Serwis techniczny „Fiata” działa jak na nasze warunki zupełnie nieźle. A jak ktoś ma ciągnik napędzany silnikiem od motopompy strażackiej, to mu żaden POM nie jest w stanie pomóc.*).

Niewielki zwrotny ciągnik byłby szczególnie przydatny na terenach podgórskich. Na pochyłościach ciężkie traktory nie nadają się do użytku i rolnicy muszą uprawiać rolę metodą króla Ćwieczka.

W przyszłym roku konstrukcja poddana zostanie kompleksowym badaniom, których celem jest określenie wytrzymałości, zużycia paliwa, siły uciągu itp. Dopiero po przejściu praktycznych prób będzie można ze spokojnym sumieniem rozkolportować instrukcję montażu ciągnika wśród rolników.

Innym osiągnięciem krynickiego IBMER-u jest uniwersalne podwozie dla rolnictwa. Konstruktorzy twierdzą, że wprowadzenie tego rozwiązania pozwoliłoby w krótkim czasie zwiększyć produkcję maszyn rolniczych aż o 30 procent! Nie trzeba chyba dodawać, że dla naszego niedoinwestowanego technicznie rolnictwa byłaby to dawka nie do pogardzenia.

Punktem wyjścia do pracy nad tym projektem wynalazczym stały się dwie banalne obserwacje. Po pierwsze – deficyt maszyn rolniczych spowodowany jest nie tyle brakiem tzw. „mocy przerobowych”, a przede wszystkim niedostatkiem ogumienia. A po drugie – zdecydowana większość gospodarstw indywidualnych stara się skompletować jak największy zestaw maszyn rolniczych.

– *Każdy rolnik to „Zosia Samosia”; chciałby mieć na własność niemal wszystkie potrzebne do pracy w polu maszyny: ciągnik, rozrzutnik obornika, kosiarkę, snopowiązałkę itd. W sytuacji, kiedy na wypożyczenie najprostszej maszyny z POM-u czekać trzeba czasem tygodniami, nie ma się czemu dziwić. Przecież w rolnictwie każdy dzień zwłoki przynieść może niepowetowane szkody. Ale efekt tej zapobiegliwości jest taki, że przez większość dni w roku urządzenia te są niewykorzystywane. A nawet na nieużywanych oponach guma szybko kruszeje i wiele maszyn kończy swój żywot już po kilku wyjściach w pole.* – doc. Żernicki nie kryje, że taki system gospodarowania uznaje za zwykłe marnotrawstwo.

Rozpoczęcie masowej produkcji jednoosiowego podwozia dałoby więc spore oszczędności materiałowe i umożliwiłoby bezinwestycyjne pokonanie wąskiego gardła naszego przemysłu, jakim jest brak ogumienia. Można by też było reanimować niektóre maszyny rolnicze przeznaczone na złom tylko dlatego, że brakuje dla nich opon.

Zalet wynalazku trudno nie doceniać. Na jednym podwoziu i tych samych kołach można przecież oprócz 2-tonowej skrzyni w prosty sposób zamontować najbardziej potrzebne w gospodarstwie maszyny: rozsiewacz nawozów, pojemnik asenizacyjny, adapter do roztrząsania obornika, opryskiwacz sadowniczo-polowy itp. W sytuacji kiedy maszyn na wsi jest jak na lekarstwo, warto się nad propozycjami krynickich konstruktorów poważnie zastanowić...

JUSTYN OPARA
Fot. **M. Żernicki**

*) O nietypowych ciągnikach (m.in. o takim właśnie) pisałem w reportażu „Każdy orze jak może” ŚM 11 XI 82

Ciągnik z zamocowaną kosiarką

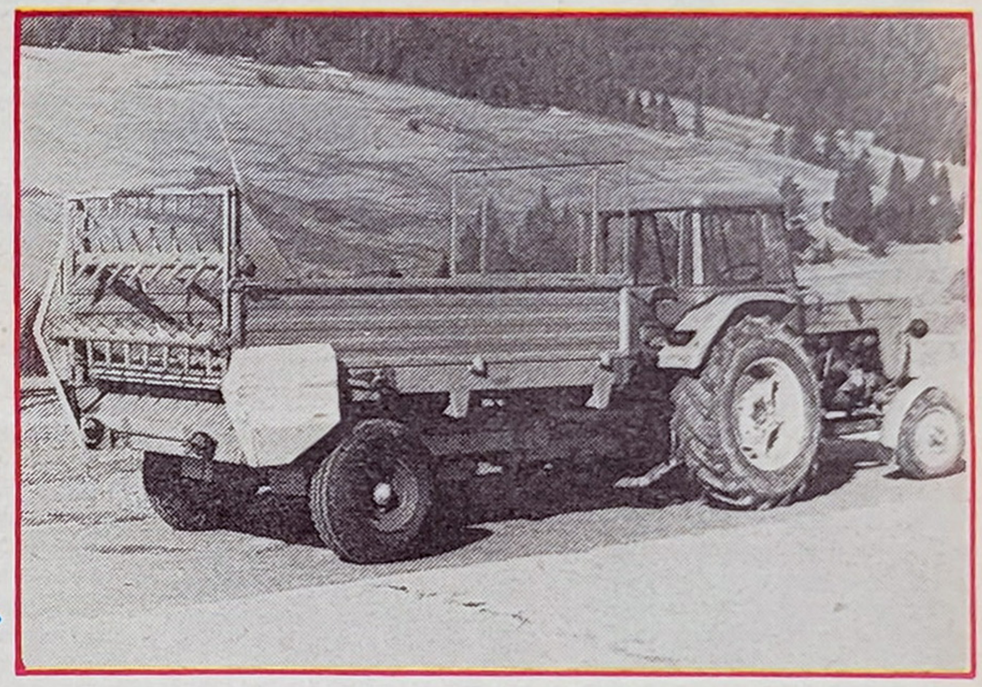

Na jednym podwoziu i tych samych kołach oprócz 2-tonowej skrzyni w prosty sposób można zamontować najbardziej potrzebne w gospodarstwie maszyny

SERDUSZKO Z LILIJKĄ

– Ach, to moje dzieci! Dzień dobry – przywitał nas starszy pan zapraszając do mieszkania. Na prawo od wejścia niewielki pokój pana Wiktora; pościel rozłożona na łóżku, obok na stoliku radio i wiele buteleczek, fiolek i opakowań z lekarstwami.

– Niech pan się położy – mówi Magda – wpadliśmy tylko na chwilkę, obiad przyniesiemy dopiero za godzinę.

– Czy kanarki dostały już swoją porcję? – pyta Basia i zagląda do klatki.

Pan Wiktor Węglowski jest emerytowanym nauczycielem, ma 80 lat, od dawna choruje i bardzo słabo widzi.

– Czy jestem zadowolony, czy pomoc jest wystarczająca? – powtarza moje pytania. – Ależ tak! Ostatnio choroba przykuła mnie do łóżka, a ponieważ prawie nie widzę, nie mogę nawet poczytać. Pozostaje mi tylko radio i rozmowy z Basią i Magdą. One są moją jedyną radością i kontaktem ze światem. Nie wyobrażam sobie, jak poradziłbym wszystkim obowiązkom bez moich „serduszek”. Są grzeczne, miłe, uczynne i bardzo je lubię.

W dalszej rozmowie p. Wiktor zdradza się, że ma pewne kłopoty z praniem.

– My też potrafimy prać – zapewniają jednocześnie Basia i Magda.

Pan Wiktor protestuje. Wyraża nadzieję, że pomoc w tym zakresie okażą mu siostry PCK i jedynie o nawiązanie z nimi kontaktu prosi swoje małe opiekunki.

* * *

„Serduszkami” nazywani są uczestnicy harcerskiej akcji życzliwości pod nazwą „Serduszko z lilijką”. Zainicjował ją i prowadzi 53 szczep DHiZ przy Szkole Podstawowej nr 33 w Białymstoku. Uczestnicy akcji sprawują stałą opiekę nad 13 osobami z osiedla. Są to przeważnie ludzie „wytropieni” przez uczniów; inni sami zgłosili się do harcerzy po przeczytaniu notatki w prasie.

Basia i Magda z zastępu „Tramp”, 63 BDH im. T. Kujewicza, są uczennicami V klasy. Panem Węglowskim opiekują się od wakacji. Obowiązki te przejęły po uczniach z klasy VIII, którzy w ub. roku ukończyli szkołę.

Magda: Z panem Wiktorem serdecznie się zaprzyjaźniłyśmy i on z nami chyba też. Cieszymy się, że swoją pomocą możemy ulżyć w jego trudnej sytuacji.

Basia: To, co robimy, wcale nie jest trudne i nie zabiera nam dużo czasu. Obiady bierzemy ze szkoły i zanosimy je na którejś z długich przerw lekcyjnych. Większe sprzątania robimy w wolne soboty, wtedy też możemy dłużej pogadać z panem Wiktorem, czy poczytać mu prasę. Z zakupami też nie mamy większych kłopotów. Nasz znak „serduszko z lilijką” uprawnia nas do kupowania poza kolejnością.

Magda: Nie znaczy to wcale, że nadużywamy tego przywileju. Pamiętamy także o innych ludziach potrzebujących pomocy i życzliwości: rencistach, inwalidach, matkach z małymi dziećmi, zawsze im ustępujemy miejsca w kolejce. Zresztą kolejki nas nie przerażają i często w nich stoimy.

Basia: W wyjątkowych sytuacjach chętnie pomagają nam też nasi rodzice.

* * *

– Sprawę prania oczywiście spróbujemy załatwić – mówi komendant szczepu dh Leszek Szargaj. – Ale muszę przyznać, że mimo kilkakrotnych prób nawiązania ścisłej współpracy z PCK, jak dotąd nie układa się ona najlepiej. Przypuszczam, iż nie zainteresował się on dotychczas panem Wiktorem dlatego, że mieszka on z synem, młodym jeszcze człowiekiem. Z naszych obserwacji i doświadczenia wiemy jednak, że pan Wiktor nie może liczyć na jego codzienną pomoc i opiekę.

Niesienie pomocy i opieka nad ludźmi niepełnosprawnymi jest tylko jednym z zadań akcji białostockich harcerzy. Zasadniczym jej celem jest propagowanie ludzkiej życzliwości w różnych formach i wobec wszystkich ludzi, nie tylko tych najbardziej potrzebujących. Dlatego też obiektem zainteresowania „serduszek” jest również np. sąsiadka znosząca wózek dziecięcy z piętra czy powracająca do domu z siatkami wypakowanymi zakupami, czyjaś zmęczona mama w autobusie, zapłakana młodsza koleżanka, itd. Pomagają im w miarę swoich możliwości i okazują życzliwość. Poprzez własny przykład, pragną wnosić i przywracać w codziennych kontaktach słowa: przepraszam, proszę, dziękuję, dzień dobry, o których jakże często dziś zapominamy.

– „Serduszko z lilijką” trwa już drugi rok. I – dodaje dh Leszek być może z czasem zaniknie lub zmieni się nazwa i forma, ale cel i wynikające z akcji zadania powinny być stale realizowane. Dla harcerzy nie są one czymś nowym, są obowiązkiem wynikającym z Prawa Harcerskiego.

Chcemy upowszechnić pewne wzory zachowania oraz umożliwić uczniom niezorganizowanym włączenie się do tych pożytecznych działań.

* * *

Akcji nadano formę konkursu. Trwa on cały rok, a finałem jest przyznanie dwóch tytułów honorowego „Mistrza Dobroci”. Dotychczas bierze w niej udział 207 „serduszek”. I chociaż prawie cały 53 szczep w niej uczestniczy (z wyjątkiem najmłodszych zuchów), to większość stanowią uczniowie nie zorganizowani w ZHP.

Podstawą oceny uczestnika konkursu są specjalne karty z numerem „serduszka” oraz listy od ludzi. Karta składa się z dwóch części: biletu, który pozostawiany jest w miejscu działania i meldunku z wykonania jednego lub kilku dobrych uczynków. Meldunki składane są w „skarbonce serduszka”, zaś bilety, często wraz z listem od ludzi, którzy otrzymali pomoc – wracają do sztabu akcji zazwyczaj drogą pocztową. Jury, składające się z przedstawicieli PCK, dyrekcji szkoły i harcerzy – ma więc niemało pracy przy podsumowaniu konkursu.

Ta „biurokracja” konieczna jest do obiektywnej oceny uczestników konkursu.

* * *

Przeglądam stosik meldunków: „przyniosłam obiad, zrobiłam zakupy, pomogłam znieść wózek dziecięcy z piętra, zaniosłam torbę z zakupami, ustąpiłam miejsca w autobusie, pomogłam przejść przez ulicę, interweniowałam w bójce rówieśników” itd. oraz bilety od ludzi: „...jestem wdzięczny,... pełen uznania..., dziękuję... serduszko nr... zmyło mi naczynia, inne – przeczytało mi gazetę” itd., itd.

Meldunki i listy są nie tylko świadectwem wykonania zadania, wskazują również, jak bardzo potrzebna jest na co dzień działalność „serduszek”.

WANDA SZKLARCZYK

Z GÓRALSKĄ MUZYKĄ W DOROSŁE ŻYCIE

czyli szukajcie dźwięku, bo jest on wszędzie...

U podnóża góry, na leśnej polanie – gromadka dzieci. Wśród niech – brodaty jegomość z kobzą na ramieniu. Zanim zabawa na dobre się rozpocznie – przewodnik rozdziela role. Wszyscy chcą być owczarzami lub psami dozorującymi stado. Nieliczni tylko – wilkami.

Baca dmie w róg... Czas zaganiać owce do zagrody. Uwijają się więc „pasterze" i ich „psy". Wtem z zarośli wypadają wilki i próbują porwać jedną owieczkę. Owce zbijają się w ciasną gromadkę, wilki krążą wokół, starając się oderwać choć jedną owieczkę. Ale próba uprowadzenia zdobyczy nie udaje się, w dodatku wilkom grozi niebezpieczeństwo. Obudziły czujność pasterzy, którzy zastawiają na nie pułapkę. Zmieniły się role – teraz wilki są w opałach, i co gorsze – nie udaje im się ujść w porę z zagrożonego terenu. Zostają złapane i skrępowane by już nie mogły niepokoić stada.

W „Kapciorku" podczas pracy

Na dzielnych pasterzy czeka na hali góralska kapela. Zabawa skończona. Teraz czas na ludowe przyśpiewki i muzykowanie. Jak zawsze – gdy zajęcia prowadzi **Józef Broda**, który od wielu już lat wraz ze swoimi wychowankami, podtrzymuje i kultywuje rodzime tradycje górali z Beskidu Śląskiego. Łączy przyjemne z pożytecznym, zaszczepiając swym podopiecznym umiłowanie tradycji, ludowego folkloru, a także sztukę rekonstrukcji i budowy instrumentów ludowych oraz umiejętność wydobywania z nich dźwięków.

W Istebnej i Koniakowie, w najbardziej na południe wysuniętych góralskich osadach, już tylko nieliczni pielęgnują rodzime tradycje. Choć jest ich na tej ziemi bardzo wiele, począwszy od słynnych na całym świecie koniakowskich koronek, po trudną sztukę muzykowania, którą od lat uprawiają członkowie Harcerskiej Grupy Instrumentów Ludowych z Istebnej i Koniakowa.

Józefa Brodę – nauczyciela wychonie lada przeżyciem. Zajęcia są nie wowej nr 2 w Istebnej – Zaolziu – znają tutaj wszyscy. Swoją popularność w kraju, a nawet i poza jego granicami, zyskał dzięki ocalaniu i utrwalaniu bezcennych skarbów folkloru górali istebniańskich. Od wielu lat, na podobieństwo Oskara Kolberga, wynajdywał w przeszłości tej ziemi oryginalne pieśni i przyśpiewki ludowe, obrzędy i obyczaje. Najbardziej jednak fascynowały go instrumenty muzyczne – dudy, zwane gdzieniegdzie kobzami, piszczałki, fujarki, okaryny, trombity – słowem wszystko, z czego można wydobyć głos. Swą pasję zaszczepił młodzieży i znalazł w niej oddanego sprzymierzeńca swych twórczych poszukiwań.

W „Kapciorku" – dawnej szkolnej szatni, dzisiaj izbie a zarazem warsztacie zespołu, młodzi twórcy spędzają każdą wolną chwilę. Tutaj właśnie powstają instrumenty muzyczne i potrzebne do inscenizacji teatrzyku obrzędowego rekwizyty – maski, kostiumy, scenografie. Tutaj też podglądają swojego druha, gdy z różnego materiału wykonuje często prymitywne instrumenty, z których tylko on sam potrafi wydobyć dźwięki. Wanda i Wiesia, które nauczyły się już same wykonywać z gliny grające piszczałki mówiłą, że druh potrafi zagrać chyba na wszystkim. Bo i na słomce, i na gęsim piórze, na liściu, a nawet na źdźble trawy.

– *Ale na fortepianie nie umiem* – śmieje się Józef Broda – a dziewczęta patrzą na niego z niedowierzaniem.

Na ścianach tej swojskiej harcówki wiszą własnoręcznie wykonane elementy instrumentów ludowych i oryginalne mikołajowe maski. Na stołach pełno słomy, gęsich piór i plasteliny. Nie czekając na zaproszenie, druh Józef podnosi pierwszą z brzegu słomkę i przyciąwszy jej końcówkę kozikiem, wydobywa z niej przeciągły dźwięk. To samo powtarza się z gęsim piórem, a później – na prędce ulepionej z plasteliny okarynie – wygrywa tęskną melodyjkę. Za każdym razem powtarza, że dźwięku należy szukać, bo on jest we wszystkim, tylko go trzeba umieć wydobyć.

Jeden z najstarszych członków zespołu – dzisiaj już pracujący i uczący się w wieczorowym Technikum Mechanicznym w Wiśle – Włodek wspomina swoje początki w zespole.

– *Było to chyba w 1974 roku, kiedy druhowi Brodzie udało się z garstki zapaleńców stworzyć teatrzyk obrzędowy. Byłem jednym z tych, którzy zaczęli wówczas przychodzić na zajęcia prowadzone przez druha Józefa. Z początku nie bardzo wiedziałem, na czym to wszystko ma polegać, bo śmieszyła mnie na przykład nauka gwary, którą mówiło się w domu. Dopiero później zorientowałem się, że nie o taką gwarę chodziło, tylko o dawną, którą porozumiewają się jeszcze starzy ludzie w naszym regionie. Tematykę przedstawień dobieraliśmy w taki sposób, by nie odbiegała ona od życia istebniańskich górali. Scenerią był szałas lub hala, na której wypasało się owce. A wszystko braliśmy z codziennego życia, a przede wszystkim z pracy tutejszych ludzi. Później dopiero, kiedy poznaliśmy już wszystkie pasterskie zwyczaje, przystąpiliśmy do nauki tańców, śpiewów i obrzędów naszego regionu. Kiedy i to opanowaliśmy należycie – czekało nas kolejne wtajemniczenie – poznawanie instrumentów ludowych i muzykowanie. W ten właśnie sposób powstała – dzisiaj już 40-osobowa Harcerska Kapela Instrumentów Ludowych z Istebnej i Koniakowa.*

Wanda, Wiesia i Beata mówią, że praca z druhem Józefem jest dla nich nie lada przeżyciem. Zajęcia są nie tylko ciekawe, ale i pasjonujące.

– *Dzięki temu, że jestem w zespole* – mówi Wanda – *utrwalam tradycje po dziadkach, z czego ogromnie radzi są moi rodzice. Sami zresztą nam w tym pomagają. Gdy zachodzi potrzeba zorganizowania zbiórki u któregoś z nas w domu – zawsze możemy liczyć na ich zrozumienie i pomoc.*

– *Zupełnie inaczej niż w szkole* – dodaje Wiesia. – *Niektórzy nauczyciele nie potrafią, niestety zrozumieć, że dzięki pracy w zespole możemy przekazać innym coś od siebie. A poza tym – chyba trochę nam zazdroszczą wyjazdów na festiwale, popularności i zainteresowania jakie wzbudza nasza Kapela.*

– *A w ogóle – to atmosfera w zespole jest sto razy lepsza niż w szkole, choć druh znacznie więcej od nas wymaga* – dorzuca Beata.

Co roku Kapela Józefa Brody organizuje w szkole „mikołajki". Takie obrzędowe, z przyśpiewkami i podarkami. Najbardziej cieszą się z nich najmłodsi, którzy zawsze z jednakową niecierpliwością czekają na ten dzień pełen niespodzianek. Ale szkoła zaczyna już na to wszystko patrzeć trochę „krzywym okiem". Za mało mają Józefa Brody i jego Kapeli, za dużo natomiast ciągłych wizyt dziennikarzy z prasy, radia i telewizji, wyjazdów, koncertów, festiwali. Wszystko to utrudnia normalną pracę szkoły i stwarza nie najlepszą atmosferę wokół zespołu. Choć na przykład polonista – Andrzej Wróbel – rozumie cel twórczej działalności kolegi. Twierdzi, że Broda jest człowiekim z ginącego już gatunku obrońców tradycji i kultury ziemi beskidzkiej, który też wychowuje, ale trochę inaczej.

Druhowi Brodzie udało się „wyhodować" wielu twórców ludowych. Niektórzy mają już własne rodziny i dzieci, ale kiedy przychodzi czas muzykowania, stawiają się o wyznaczonej godzinie w miejscu próby.

Józef Broda – ma jak każdy kilka cichych marzeń. Jednym z nich jest stworzenie autentycznej izby ludowej w starej, góralskiej chacie. Takiej samotni, do której mógłby przyjść każdy, gdy mu będzie ciężko. Bo druh Józef ma świadomość swego pedagogicznego posłannictwa w wychowaniu dzieci i młodzieży przez sztukę i dla sztuki. Chce po prostu, by umiały się one śmiać i radować ze wszystkiego, co je otacza. By nie czuły się zagubione w skomplikowanym świecie dorosłych.

KAZIMIERZ KRZYSKÓW

Fot. **Z. Bisanz**

Radość ze złapania wilków – wesoły pląs wszystkich uczestników zabawy

Na hali na dzielnych pasterzy czeka już góralska kapela

SDK MSM „STARÓWKA"
GROTEKA
WARSZAWA
tel. 36-27-49

Zagraj razem z nami (2)

VEGA (kubo, soma)

Ten pochodzący z lat 50-tych wynalazek Duńczyka, Pieta Heina, zrobił ogromną furorę. O grze tej mówi się, że nigdy się nie nudzi. Albo że nie ma nic równie prostego, co jednocześnie byłoby tak trudne. Istnieją specjalne pisma, poświęcone vedze. I nic dziwnego. Mając do dyspozycji komplet elementów, można z nich ułożyć wprost niezliczoną liczbę figur.

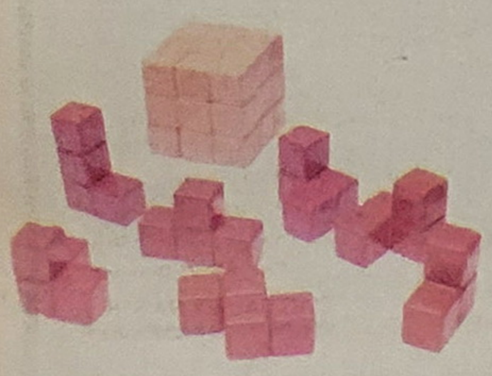

Konstrukcyjnie gra przypomina przedstawione w poprzednim odcinku pentomino. Oto mamy 7 elementów, z których każdy sklejony jest z czterech kostek. Rozmaitość tych detali pokazuje zdjęcie. Najprostsza z wyglądu bryła, jaką można z nich ułożyć, to sześcian. Nie znaczy to jednak, że akurat właśnie sześcian ułożyć najłatwiej. Wśród zaprezentowanych nam w grotece figur były m.in. wanienka, studnia, schody (b. trudne!), parawan, piesek, suczka. Możliwości jest jednak tyle, że każdy ma szansę zostać tutaj wynalazcą i dodać coś od siebie. Ale najpierw trzeba się nauczyć układać jakiekolwiek już znane figury. Wprawni robią to niekiedy błyskawicznie – rekord groteki w vedze wynosi 3 sekundy. Ciekawym zadaniem bywa przekształcenie jednej figury w inną. Niewtajemniczonemu wydaje się, że koniecznie trzeba rozebrać poprzednią i od podstaw budować następną. Wytrawni gracze umieją jednak osiągnąć nową figurę przez zmianę położenia jednego elementu.

Vegę można sobie zrobić podobnie jak pentomino, z dziecięcych klocków. Ta gra ponad wszelką wątpliwość rozwija wyobraźnię przestrzenną. A jakież stanowi lekarstwo na nudę! **(tok)**

Fot. **M. Szymański**

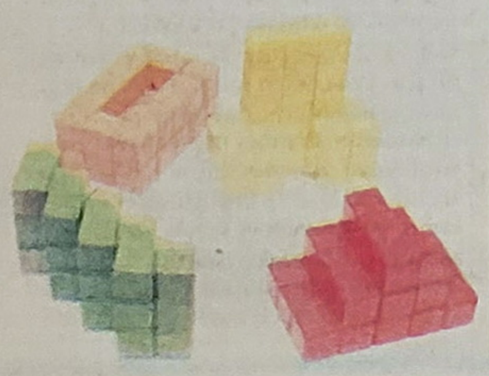

Pewnego razu...

POZNAŁ PO TWARZY...

Pewnego razu znanego lekarza niemieckiego E. Heima wezwano pilnie do szpitala. Ciężko chory pacjent, którego leczył od dawna, stracił przytomność i wydawało się, że już umiera. Heim zastosował nadzwyczajne środki i chory zaczął przychodzić do siebie. Otworzył oczy, objął spojrzeniem lekarzy i siostry zgromadzone przy łożu, i spytał nagle Heima:

– A co to za jełopy?

Nie posiadający się z radości Heim zwrócił się do swych kolegów i triumfująco rzekł:

– Widzicie, panowie, jak on od razu poznał się na was?

(KG)

Ernest Ludwig Heim, 22.07.1747 – 15.09.1834, popularny lekarz w Berlinie, nazywany „starym Heimem". Znany z trafnych diagnoz, lekarz ubogich

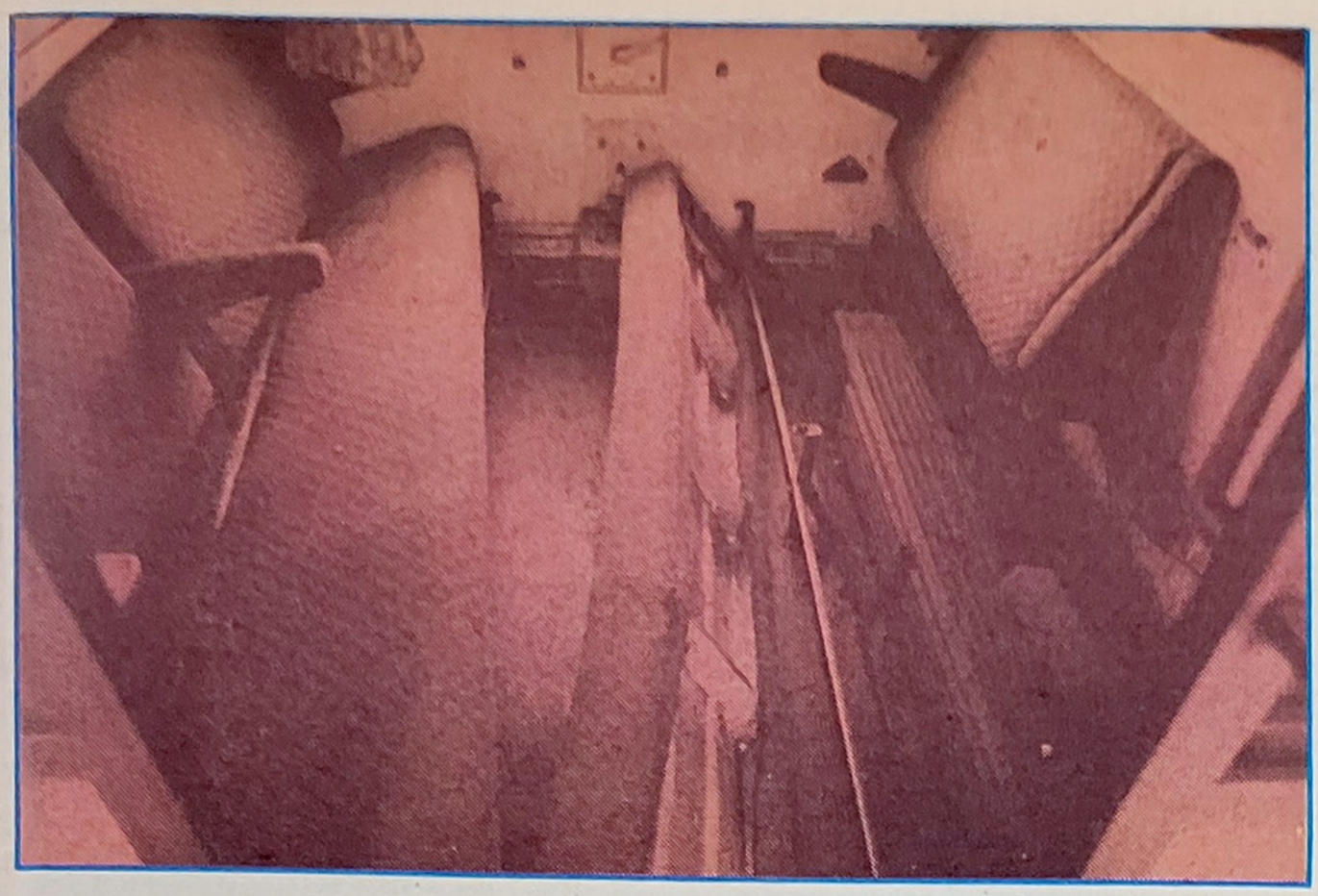

POCIĄG W SZPITALU

Czy wiecie, że zwykły wagon osobowy żyje mniej więcej 30 lat, ale co rok wymaga gruntownego remontu?

Niestety, nie dbamy o nasze pociągi i często trafiają one do Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Pruszkowie w stanie zgoła opłakanym. Najczęściej zniszczeniu ulega tapicerka na siedzeniach – nierzadko jest złośliwie pocięta ostrymi narzędziami. Drugie miejsce zajmują dziury w ścianach, które znaleźć można nawet w miejscach dość nieoczekiwanych np. w toaletach. Często zdarzają się kradzieże drobnych urządzeń instalacji elektrycznej, np. transformatorów i różnych elementów wyposażenia jak lustra czy klamki.

Każdy wagon osobowy oprócz corocznej naprawy rewizyjnej poddawany jest co 12 lat tzw. naprawie głównej. Rozbierany jest wtedy na części pierwsze. Wymienia się tapicerkę, podłogi, ściany, zużyte urządzenia instalacji elektrycznej i ogrzewczej, zniszczone elementy podwozia. Pudło wagonu jest na nowo malowane. Po dwóch miesiącach takiej kuracji wagon wygląda jak prosto z fabryki. Kosztuje to około 8 mln złotych! W ciągu miesiąca Pruszkowskie Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego remontują kilkaset wagonów osobowych – co jest kroplą w morzu potrzeb. Inne zakłady (jest ich w kraju zaledwie kilka) „leczą" wagony towarowe, pociągi elektryczne, lokomotywy. Mają z tym niemało kłopotów, ponieważ ciągle brak a to świetlówek, a to akumulatorów, farby olejnej – ostatnio brakowało kauczuku do uszczelniania drzwi i okien.

Trudno byłoby wyobrazić sobie nasze podróże bez tych niezwykłych szpitali.

(jz)

Fot. **Jacek Łopuszyński**

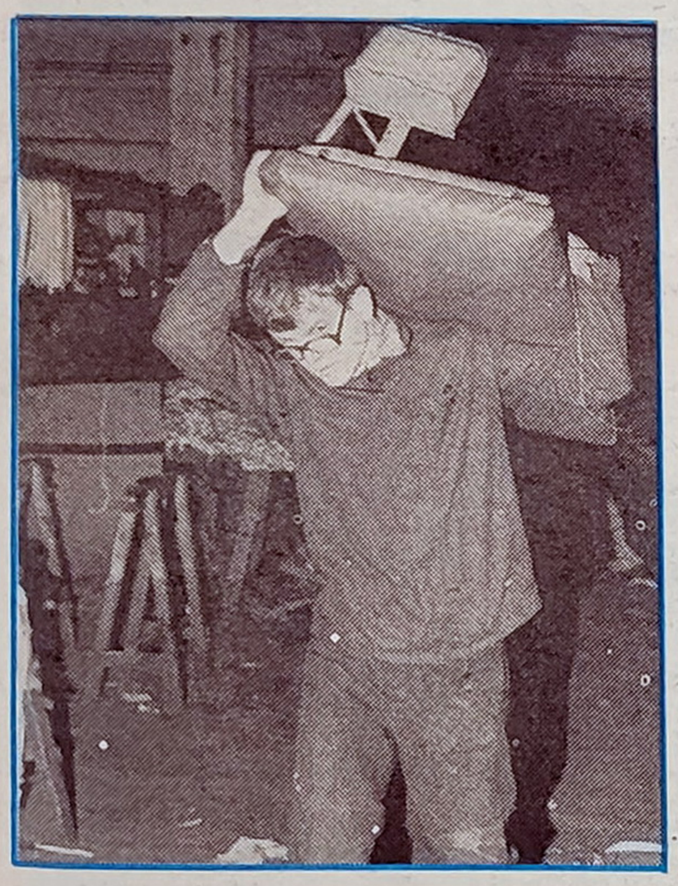

Po prostu „Ancia"

Z Anetą Chmelik spotykamy się często, przeważnie na zawodach. Rozmawiamy wiele, choć dziewczyna nie jest gadułą. Mówimy o treningu, startach, szkole. Jest nad wyraz dojrzała jak na swoje 14 lat i na każdy niemal temat ma coś do powiedzenia. Z tej całej masy spotkań szczególnie pamiętam trzy pierwsze. Pierwsze – oświęcimskie, podczas Zawodów Przyjaźni, drugie – rzeszowskie, choć już nie tak radosne i wreszcie trzecie, najwspanialsze, na dworcu w Katowicach, gdy ze złotym medalem mistrzostw Europy juniorów wysiadła z wiedeńskiego pociągu.

Spotkanie pierwsze

Przyszła po dekoracji, usiadła na brzegu krzesła i z przekornym uśmiechem patrzyła mi prosto w oczy. Nie kryła swojej radości. Przed kilku minutami wygrała 400 zmiennym, po wspaniałej walce z groźną Rumunką Lung. W Zawodach Przyjaźni zwyciężać nie jest łatwo. Startują przecież pływackie nadzieje takich potęg jak NRD, ZSRR czy Węgier. Tamto „złoto" miało swoją wagę. Rezultat też się liczył. 4:58,57 to wynik, który stawiał oświęcimiankę w gronie faworytek do zwycięstwa na ME juniorów w Innsbrucku. Co tam Innsbruck, uzyskany czas liczył się na europejskiej giełdzie nawet wśród seniorek.

Wtedy, po pierwszym wielkim sukcesie, mówiliśmy o jej trenerach. Nauczył ją pływać Kazimierz Woźnicki, potem przejął dziewczynę Grzegorz Molenda, ale w ostatnich dniach ponownie trafiła do popularnego „Kazka". Zrobiła ogromne postępy, mogła więc trenować z Grażyną Dziedzicówną, medalistką ME seniorów ze Splitu. Zawsze o tym marzyła. We wczesnym dzieciństwie kusiła ją gimnastyka i figurowe łyżwiarstwo. I w tych dyscyplinach wróżono jej dobre wyniki. Wybrała wodę. Mówiliśmy też o Kasi Perkowskiej, najgroźniejszej rywalce, z którą równorzędną rywalizację w kraulu nawiązała przed dwoma laty. Również o Agnieszce Czopkównie, wspaniałej naszej „zmiennistce", której rezultaty wtedy wydawały się dla „Anci" prawie nieosiągalne. Ale dziewczyna wierzyła w swoją gwiazdę. A wiarę tę podparła solidną robotą. Czas wykazał, że obrała właściwą drogę.

Spotkanie drugie

W Rzeszowie szukałem jej długo. Podczas dwumeczu naszej reprezentacji z CSRS miała być jedną z faworytek. Niestety leżała w szpitalu. Lekarz PZP, dr Henryk Kuński, zabronił „Anci" startów, wykluczył całkowicie treningi i kazał odpoczywać. Młodziutki organizm nie wytrzymał zbyt dużych treningowych obciążeń. Sześć poważnych imprez w każdych zawodach, wiele konkurencji i codzienne wielogodzinne zajęcia w wodzie musiały spowodować przetrenowanie. Dały o sobie znać szczególnie Zawody Przyjaźni, w trakcie których (pod nieobecność trenera Woźnickiego) zmuszono Anetę do wzięcia udziału w kilkunastu wyścigach. A do mistrzostw Europy

Fot. **M. Żbikowski**

CIĄG DALSZY NA STR. 7

GWIAZDOZBIÓR

Robert Mitchum – 44 lata na ekranie

Robert Mitchum w gali prezentuje się niezwykle okazale – zdjęcie pochodzi z ostatniego filmu „Winds of war".

Fot. **archiwum**

Słynnym aktorom rzadko zdarza się, żeby jak normalni śmiertelnicy przechodzili na emeryturę. Na ogół z powodzeniem występują przed kamerami, dokąd tylko siły im na to pozwalają. W rzadkich wypadkach wycofują się z ekranu, ku żalowi widzów, w momencie rozkwitu swej sławy, jak to zrobiły choćby Greta Garbo, czy Bardotka. No, ale to były niezwykle piękne kobiety i może lepiej, że świat nie zobaczył, że ich uroda może zwiędnąć.

Robert Mitchun – jeden z wielkich Hollywood – skończył 65 lat. I na szczęście o odejściu od pracy w filmie nie myśli. Z filmem związany jest od 44 lat, ale swej kariery nie zaczynał jako aktor. Urodził się pod znakiem Lwa w 1917 roku w Bridgepot, w stanie Connecticut. Zdobył zawód plastyka – dekoratora i w tym charakterze zaczął pracować w wytwórni „United Artists". Był obecny na filmowym planie, gdy w czasie zdjęć do jednego z westernów zmarł nagle aktor grający główną rolę. Zauważono wtedy, że dekorator ma sylwetkę bardzo podobną do zmarłego. Zatrudniono go więc i ukazał się na ekranie w kilku ostatnich ujęciach na dalekim planie. W ten sposób pracę nad pechowym filmem zdołano zakończyć.

Po tym przypadkowym i anonimowym dla publiczności debiucie Mitchum nigdy nie wrócił już do dawnego zawodu. Okazało się, że posiada wrodzone umiejętności aktorskie, a jego charakterystyczna twarz z ciężkimi, jakby pół przymkniętymi powiekami i kwadratowo zarysowaną szczęką, jest bardzo filmowa i szczególnie dobrze prezentuje się pod kowbojskim kapeluszem. Reżyserzy dawali mu więc początkowo niewielkie, a z czasem coraz bardziej eksponowane role w westernach.

Tak więc Mitchum do pozycji gwiazdorskiej dochodził długą drogą statystowania i trzeciorzędnych epizodów w seryjnych filmach. Szczególnie chętnie zatrudniał go William Boyd, czyniąc go ozdobą serii drugoplanowych postaci w popularnych filmach z serii Cassidy.

W drugiej połowie lat czterdziestych Bob Mitchum zaczął występować pod poważnym imieniem Robert i to już nie tylko w westernach. Dziś, z perspektywy wielu lat trzeba jednak stwierdzić, że właśnie role w westernach uwieczniły jego nazwisko w historii kina. I on dołożył swoją cegiełkę do wykreowania jednego z tzw. typów kowbojskich. Jest ociężały, jakby leniwy i trochę nonszalancki, niechętnie przyjmuje wyzwania – ale w walce staje się straszny i bezwzględny. Widzieliśmy go takim w „Rzece bez powrotu", w „Człowieku ze strzelbą", w „El Dorado" i w „Drodze na Zachód".

Jakie role Robert Mitchum w tej chwili przyjmuje najchętniej? Takie, które wymagają włożenia oficerskiego munduru. Szpakowaty, barczysty pan prezentuje się znakomicie w tym męskim stroju. Polscy widzowie oglądali go w oficerskim uniformie w filmie „Bitwa o Midway", nakręconym siedem lat temu, ale wciąż obecnym na naszych ekranach. Obecnie aktor jako kapitan marynarki w filmie „Winds of war" („Wiatry wojny") w pięknym galowym mundurze podbija serca aż czterech pań i nie przeszkadza mu, że w sumie młodsze są od niego o ponad sto lat. (eb)

SKRZYNKA KONTAKTOWA

● **Interesują nas materiały i zdjęcia Bruce'a Lee – w zamian za fotosy innych popularnych aktorów i plakaty zespołów. Czekamy pod adresem: Jarek i Leszek Siuda, Oś. 700-lecia, ul. Książąt Pomorskich 24/50, 89-604 Chojnice.**

● **Mam 14 lat. Bardzo mnie interesują powieści Karola Maya. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby ktoś przysłał mi swój scenariusz powieści Karola Maya. Krzysztof Jachna, Pl. Grunwaldzki 10/30, 50-384 Wrocław.**

● **Chcę korespondować o filmie i wymieniać fotosy. Mam ich wiele i to tych najpopularniejszych aktorów. Anna Grzesiek ul. Limanowskiego 192 a m. 6, 91-027 Łódź.**

● **Pragnę korespondować z osobami, które fascynuje wielki mistrz kung-fu Bruce Lee. W zamian za informacje o nim (choć posiadam ich wiele, lecz chciałbym je uzupełnić) oferuję zdjęcia z Bruce'em Lee, których posiadam ok. 30 rodzajów, różnych formatów. Czekam na listy: Tomasz Symonowicz, ul. Mała 1 B/3, 66-200 Świebodzin.**

DOM MODY świata młodych

(serial włóczkowy, odc. 5)

DO KOLAN ALE LEPIEJ – PRZED

Tydzień temu pisałam o zimowych pulowerach czyli zakładanych przez głowę grubych i obszernych swetrach. Jeśli ktoś ma więcej cierpliwości (i włóczki także), to może taki pulower wydziergać sobie dłuższy i... nosić go w charakterze sukienki. Najmodniejsze bowiem dzianinowe sukienki, to nic innego jak właśnie przedłużony trochę pulower. Nawet ściągacz na dole często bywa. Aby nikt nie miał wątpliwości, że to pulower właśnie jest. Oczywiście nie jest on (ten ściągacz na dole) konieczny. Kto woli, żeby sukienka bardziej jednak do sukienki niż do swetra była podobna, może zrezygnować z niego.

Takie dziergane sukienki (nie tylko dziergane zresztą) bywają obecnie bardzo krótkie – sięgają zaledwie do połowy uda. Mogą być i dłuższe, ale nie dłuższe niż do kolan, ewentualnie ledwo je zakrywające. I całe szczęście – bo każdy centymetr długości więcej, to więcej dziergania. I tak, aby za zrobienie na drutach sukienki się zabrać, trzeba mieć sporo samozaparcia. Czym sukienka krótsza – tym roboty mniej. Szansa więc na włóczkową kieckę jest większa niż była kiedykolwiek.

Z tym, że – uwaga: mini jest naprawdę szalenie modne, ale nie każdej dziewczynie jest w mini dobrze. Uroczo będzie w niej wyglądała osoba szczupła w biodrach i o zgrabnych nogach, ale całkiem fatalnie jej koleżanka o kształtach nieco... obfitszych i o nogach masywniejszych. Zwłaszcza grube uda prezentują się w mini bardzo źle. Tak naprawdę, to dobrze wygląda w takim króciutkim ciuchu wyłącznie posiadaczka szczupłych ud. Są one bowiem w tym stroju szczególnie eksponowane. Więc przed założeniem mini trzeba się samokrytycznie przejrzeć w lustrze i zdecydować, czy jest co eksponować przed oczami publiczności. Tym bardziej, że mini nie jest obecnie jedną długością (jak to było kilkanaście lat temu, gdy niepodzielnie i wszechwładnie panowała wyłącznie owa mini-długość) i człowiek przyodziany w coś dłuższego wcale nie jest traktowany jako ktoś, kto za modą nie nadąża. Teraz mini być może, ale wcale nie musi.

Wracając zaś do sprawy sukienek jako takich, to w przeciwieństwie do pulowerów, które są przede wszystkim wzorzyste, sukienki mogą być zarówno wzorzyste jak i jednobarwne. Z tym, że myślę, iż z powodów, o których pisałam tydzień temu, u nas właśnie wzorzyste zdobędą zdecydowaną przewagę. A wzory, podobnie jak i w pulowerach, mogą być najróżnorodniejsze.

I ostatnia uwaga – taką krótką włóczkową sukienkę można również nosić w charakterze kasaka do każdych spodni.

RIUSZKA

Po prostu „Ancia"

CIĄG DALSZY ZE STR. 5

pozostało kilka tygodni, Chmelik leżała w łóżku. Woźnicki dosłownie kipiał. Twierdził, że natychmiast zabiera małą do Oświęcimia i niech się dzieje co chce, lecz nie odda jej w niczyje ręce. Musi solidnie odpocząć. Właśnie przed wyjazdem do Oświęcimia, w hotelowej restauracji, siedziałem z „Ancią" i jej opiekunem. Rozmowa się nie kleiła; trener smutno kiwał głową, a pływaczka nie miała ochoty nawet na posiłek. Powiedziała jednak, że z ME przywiezie medal.

Spotkanie trzecie

Dworzec w Katowicach. Tłumy ludzi. Całe szczęście, że nie przeoczyliśmy złotej medalistki. Tak uśmiechniętej Anety jeszcze nie widziałem. Promieniowała radością i zaraziła nią wszystkich. Z bukietem kwiatów w ręce, złotym medalem na szyi opowiadała szczegółowo o swoim życiowym starcie. Przy okazji wspominała Rzeszów i ówczesne rozterki. W eliminacjach „Ancia" pływała na luzie, z pewną rezerwą sił. Jej najgroźniejsza rywalka Ute Zerfase (NRD) dała z siebie wszystko i po zakończonym wyścigu ledwie wyszła z wody. Finał 400-zmiennym był wręcz dramatyczny. Po delfinie była na 3–4 pozycji i pragnęła „tylko" brązowego medalu. Po grzbiecie przesunęła się na drugą lokatę, a po żabce zrównała z Rumunką Gabriele Baka. Następnie o kilka dziesiątych sekundy wyprzedziła ją w kraulu. Walkę toczyły jednak do ostatniego metra. Na 200 zmiennym popłynęła słabiej. Nie lubi zimnej wody, a w takiej musiała startować. Za to na 400 i 800 kraulem ponownie „zaliczyła" wysokie lokaty. Koledzy przyjęli sukces z entuzjazmem. Nie obyło się rzecz jasna bez tradycyjnej kąpieli (w dresie). To już taki pływacki rytuał i nie ma na to rady. O podium mówiła z rozrzewnieniem. Nie powiedziała tylko, że płakała podczas grania „Mazurka"...

Spotkanie czwarte

Powinno nastąpic wkrótce, gdyż zbliża się bogaty sezon startowy. Czy będzie ono radosne? Nie potrafię dzisiaj dać odpowiedzi twierdzącej. Wszak różne są sportowe losy. Znając jednak Anetę spodziewam się raczej radości.

JACEK ZEGADŁO

Mam nadzieję, że dziś zadowoleni będą ci czytelnicy naszej rubryki, którzy wierzą w najbardziej nieprawdopodobne zdarzenia, mające jakoby miejsce na naszej planecie. Animatorami tych historii mają być przybysze z kosmosu. Wielokrotnie wypowiadałem się na te tematy, nie chcę się więc powtarzać. Powiem tylko jedno – wiara w piękne bajki jest na pewno atrakcyjniejsza niż spojrzenie na rzeczywistość chłodnym wzrokiem. Wierzącym w niesamowite opowieści absolutnie nie przeszkadza, że są one sprzeczne z prawami przyrody, ba, z elementarnymi wymogami logiki. Przeczytajcie zresztą sami.

PREZES

Wehikuł czasu

Świadomość ludzką dręczy w ostatnich czasach wiele nie wyjaśnionych zjawisk, występujących na naszym globie. Jednym z tych zjawisk są szerzej nie znane „podróże w czasie". Wielu ludzi uważa tę sprawę za absurd, i kto im udowodni, że tak się dzieje naprawdę? Jednak wbrew wszelkim przypuszczeniom dowody takie istnieją, mniej lub więcej wiarygodne, ale oparte na autentycznych zeznaniach ludzi uczestniczących w zdarzeniu lub świadków tych zdarzeń. Oddajmy na chwilę głos A. Schneiderowi, który w swojej książce „Besucher aus dem all" wydanej w 1974 r. opisuje równie niesamowite jak i wiarygodne wydarzenia.

W maju 1958 roku adwokat dr. Gerardo Vidal z Buenos Aires powracał wozem ze swą żoną z uroczystości rodzinnej; przed nimi dwoje przyjaciół jechało w innym wozie. Przyjaciele dojechali do miejsca przeznaczenia. Vidalowie jednak nie. Przeszukanie drogi w odwrotnym kierunku nie dało żadnego rezultatu. Czterdzieści osiem godzin później otrzymali oni telefon z argentyńskiej ambasady w Mexico City (5000 km odległości) gdzie Vidalowie zgłosili się. Dzień później małżeństwo wróciło i opowiedziało co się zdarzyło:

W chwili gdy wyjeżdżali z jakiejś miejscowości na szosę wóz ich okryła nagle gęsta mgła. Oboje stracili przytomność. Gdy ją odzyskali, znajdowali się w swym wozie na skraju szosy w całkowicie innej okolicy. Zatrzymali przejeżdżających obok i dowiedzieli się, że znajdują się w... Meksyku. Zegarki ich stały, ale za pomocą kalendarza stwierdzili, że od chwili omdlenia minęły dwie doby. Wóz nie był zniszczony, jedynie z wierzchu spalony lakier, jakby przejechał po nim aparat do spawania. Oboje czuli się tak jakby obudzili się po długim śnie. Poza bólem karku nie odczuwali żadnych dolegliwości. Vidalowie złożyli zaprzysiężone zeznania...

Nie jest to co prawda jedyny przypadek tego rodzaju. Można byłoby podać jeszcze niejedno równie fascynujące zdarzenie. Istnieje na świecie kilka ciekawych hipotez na ten temat, wysuniętych przez liczne grono ludzi zajmujących się tą sprawą. Np. J. Sauderson wysuwa przypuszczenie o jakichś niezwykłych burzach magnetycznych w różnych rejonach świata, *w wyniku których w określonych warunkach, mogą zaistnieć przemieszczenia się różnych przedmiotów w inne punkty continuum czasoprzestrzennego.* Inna hipoteza wysunięta przez prof. J. Bergiera, brzmi iż *w niektórych miejscach istnieją przejścia do drugiego wymiaru czasoprzestrzeni, czyli do wszechświata równoległego z naszym.* Echa tej hipotezy o równoległym świecie lub o nieskończonej ilości takich równoległych światów, przewijają się przez szereg bardziej konsekwentnych wypowiedzi innych badaczy. Tak na przykład amerykański fizyk, współtwórca bomby H, (wodorowej) obecnie wykładowca na uniwersytecie w (Princeton) prof. J.A. Wheeler uważa, że *cała struktura przestrzeni naszego wszechświata przewiercona jest przez „dziury", które stanowią swego rodzaju przejścia d innego znajdującego się obok naszego, kosmo su zwanego przez niego „nadprzestrzenią".*

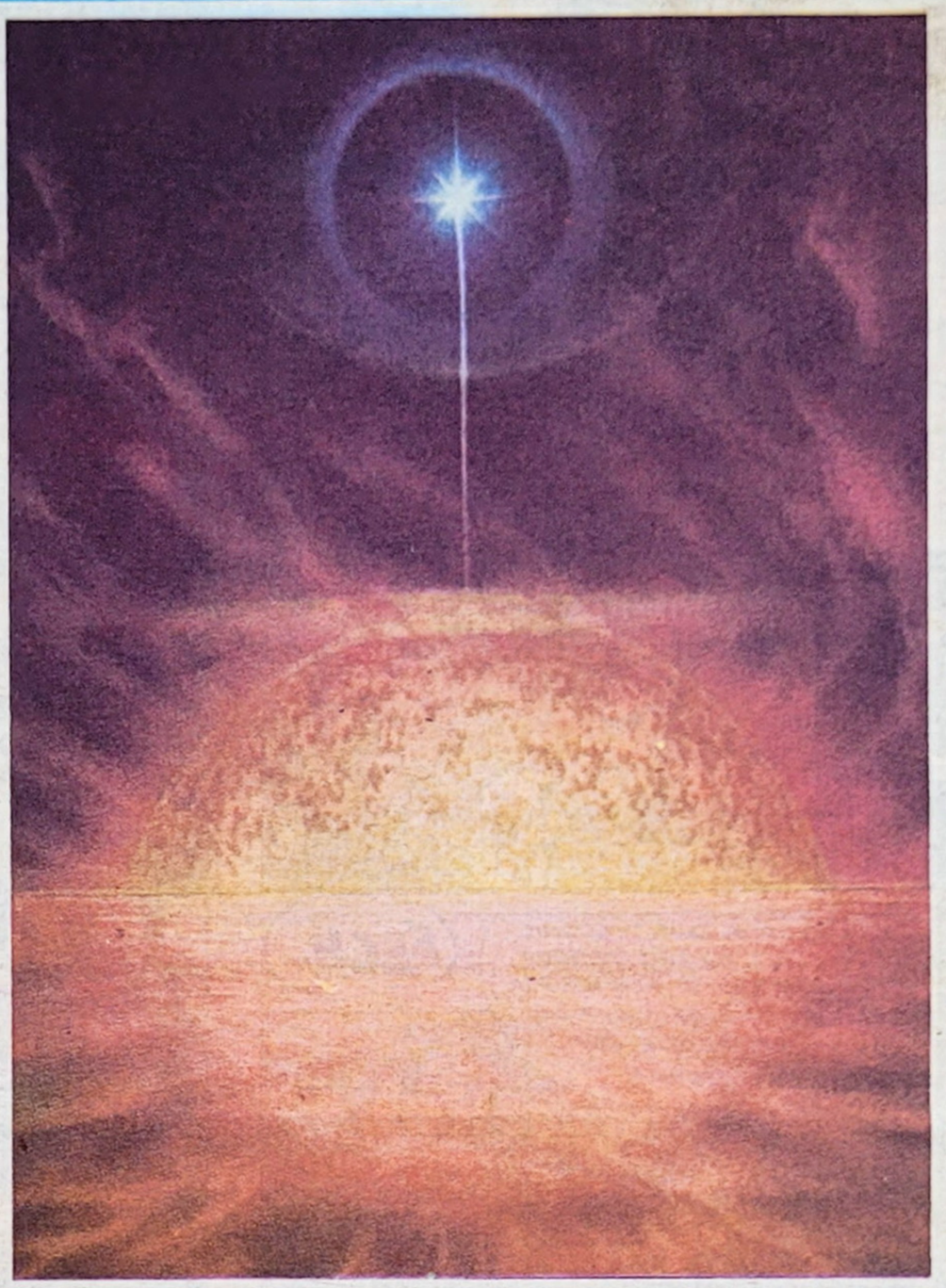

Jak widać z tych wypowiedzi, naukowcy są zgodni co do jednej sprawy, mianowicie istnienia innego wymiaru czasu. Przytoczę tu jeszcze wypowiedź innego naukowca M.E. Faliń-skiego, która w pewnym sensie potwierdza poprzednie hipotezy. Faliński mianowicie twierdzi, że *do pomyślenia jest nieskończona ilość systemów światowych, które wzajemnie zachodzą na siebie, ponieważ w budowie ich tak jak w budowie atomów, materia jest tylko znikomą częścią tworzącej je próżni. Systemy 25 kwietnia 1977 r. – jak podało szereg gazet prasy zach. nie opodal miejscowości Putre, na granicy chiliisko-boliwijskiej, 2200 km na północ od Santiago de Chile, kapral Armando Valdes wraz 6-osobowym pododdziałem wyruszyli zgodnie z rozkazem na codzienny nocny obchód niemal całkowicie pustynnego obszaru. W pewnej chwili patrol dostrzegł około pół kilometra przed sobą jakieś niezwykle jaskrawe światło. Valdes rozkazał natychmiast żołnierzom zająć pozycję obronną i sam – ubezpieczany przez nich – ruszył w kierunku światła. Ubezpieczanie okazało się jednak nieużyteczne. Zanim Valdes zdążył zbliżyć się do światła, zgasło ono nagle, a wraz z nim zniknęła także z oczu żołnierzy sylwetka kaprala. Zdezorientowany pododdział nie wiedząc co dalej począć tkwił na miejscu przez piętnaście minut a gdy wreszcie zdecydowano wyruszyć na poszukiwanie zaginionego dowódcy, nagle pojawił się on wśród ciemności z wyrazem niezwykłego zdumienia na twarzy, zdążył krzyknąć „muchachos" (hiszp. – chłopaki) i... padł zemdlony. Oszołomieni żołnierze zabrali się pospiesznie do ratowania kaprala i zaskoczeni ujrzeli, iż Valdes, który kwadrans temu odszedł od nich ogolony, miał teraz na twarzy... wielodniowy zarost. Posiadany przez kaprala zegarek z kalendarzem wykazał, ile zarost liczy dni: kalendarz wskazywał 30 kwietnia! Mimo szczegółowych wypytywań Valdes nie był w stanie przypomnieć sobie niczego, co mu się w ciągu tych 15 minut albo 5 dni wydarzyło. Po prostu wyruszył w stronę światła wołając głośno: „kim jesteście" i... obudził się wśród cucących go żołnierzy...*

W 1961 roku pilot-amator podczas lotu wśród cumulusów nad Ohio przy wyjściu z chmury zupełnie niespodziewanie natknął się na inny samolot. Mimo natychmiastowego manewru, nie udało mu się uniknąć uderzenia, ale na szczęście ograniczyło się ono tylko do lekkiego stuknięcia końcem skrzydła w jeden z płatów tamtego samolotu. W jeden z płatów – to nie pomyłka, bowiem zderzył się on z... dwupłatowym samolotem z okresu I wojny światowej! W dodatku w otwartej kabinie siedział równie „starożytny" pilot w skórzanej czapce i starych goglach! oczywiście, gdy pilot złożył o tym meldunek na lotnisku, nikt mu nie wierzył, ale w kilka miesięcy później w pobliżu miejsca zderzenia odkryto przypadkiem w jakiejś starej szopie... właśnie samolot tego typu. Sprowadzeni eksperci stwierdzili rzecz jasna, że ten drewniany z płóciennymi płatami samolot od dziesiątków lat już nie nadaje się do latania, po czym – przy jego bliższych oględzinach – odkryli nagle... ślad uszkodzenia na jednym z płatów, a w nim mikroskopijne resztki glinu i lakieru pochodzące ze skrzydła jakiegoś samolotu współczesnego. Zdarzenie to można wyjaśnić tylko anomalią czasu: współczesny lotnik został cofnięty w czasie o kilkadziesiąt lat...

Piotr Wermanowicz
ul. Przemysłowa 7d/4
14–510 Orneta

Pangea – zaginiony superkontynent

(PAP). Geolodzy szukają nowych danych potwierdzających hipotezę, że około 800 mln lat temu istniał na Ziemi tylko jeden superkontynent – Pangea. Później podzielił się on na dwa wielkie lądy – północny i południowy. Dr Mark McMenamin z Uniwersytetu Kalifornijskiego przeprowadził badania występowania skamieniałości najstarszych organizmów bezszkieletowych żyjących na dnie mórz. Szczątki tych zwierząt znane są z Australii, Afryki, Ameryki Płd., Antarktyki i północno-wschodniej Europy. Szczątki zwierząt wytwarzających pancerzyki a nie występujących w poprzednim zestawie fauny – znaleziono w Ameryce Północnej, Chinach i na Syberii. Porównanie wystąpień pozwala odtworzyć zasięg Pangei – oraz kolejne fazy jej podziału na ląd południowy – Gondwanę i północny – Laurazję.

miałam się dowiedzieć, że jej kolor jest nieomylną oznaką nastroju chłopaka.

Stojąc przy drzwiach usłyszałam ich, i usłyszałam też moją siostrę, która miast zajrzeć do chłopca, wolała się dowiadywać, co się stało.

Wreszcie chłopiec już wstał, przyczesał palcami nastroszone włosy, rzucił się do drzwi i krzyknął pytanie, czy Czteropalcy ma amulet, potem poprawił ubranie, podciągnął za duże spodenki, kiwnął mi głową i nie czekając, aż go poprowadzę do ludzi, wyśliznął się za drzwi, jakby to był jego dom, jakby tu mieszkał od dłuższego czasu. A przecież czekałam na jego przebudzenie tylko dlatego, żeby się nie zląkł, gdy ocknie się w obcym pokoju. Nie zląkł się i gdybym wcześniej pomyślała, mogłabym to przewidzieć. Smarkul także by się nie bał. Zostałam sama i nie mogłam przecież pogonić za nim, wpadać do kuchni czy pokoju i okazywać, jak bardzo to wszystko mnie zajmuje. Tak wtedy myślałam. Wejdę – postanowiłam – nieco później, podam Czteropalcemu rękę, usiądę spokojnie i na pewno się dowiem wszystkiego.

– Trochę godności, Joanno – powiedziałam do siebie półgłosem, i by tę godność utrwalić, znów podeszłam do okna, gotowa w zadumie popatrzeć na ulicę.

Przy furtce stał Piotr, Róża zbliżał się do niego. Przywarłam do szyby, zaciskając ręce. Róża był spokojny. Wymienili kilka słów i Piotr odszedł. Nie pobili się więc, choć wcześniej nie miałam wątpliwości, że jeśli spotkają się jeszcze raz, to znów będą walczyć, bo Piotr będzie szukał zemsty, a Róża nie należy do ludzi lubiących kompromis. A jednak widziałam, że Róża spokojnie kazał Piotrowi odejść i Piotr usłuchał. Coś się stało.

Ciągle jeszcze stałam, teraz pośrodku pokoju, niedaleko łóżka, na którym leżał nierówno, niedbale odrzucony koc – wygładziłam go bezwiednie – i zastanawiałam się, czy ich zachowanie nie wynikło z mojego: poprzedniego dnia przypatrywałam się ich bójce, jak średnowieczna dama turniejom rycerskim. Ale przecież nie zamierzałam obdarzać nagrodą zwycięzcy, byłam po stronie Róży i nie ukrywałam tego. Nie mogli oczekiwać, jak myślałam, że włączę się do walki. Może jednak mieli mi za złe, że nie usiłowałam jej przerwać. Ale chciałam, żeby Róża pobił Piotra, należała mu się kara za donosicielstwo. I za parę innych rzeczy. Patrzyłam na pobitego Piotra bez litości, nie było mi go żal. Dostał, co mu się należało. Nie wiedziałam, co się dzieje w głowie Róży: może oczekiwał, że pobitego przynajmniej opatrzę, a kiedy tego nie zrobiłam, uznał, że więcej walczyć nie będzie. Zaczęłam się – z tego wszystkiego – bać spotkania z Różą.

Ktoś zbliżał się do pokoju, więc szybko usiadłam na jednym z wolnych krzeseł, w panice sięgnęłam po książkę – była tu półka z książkami, pokój należał do Róży – wyciągnęłam na chybił trafił cienki tom i otworzyłam pośrodku.

– „Musimy znać naszą pozycję, żeby jej bronić; to jest podstawowa reguła. A więc: co nas złączyło? Ciężkie położenie. Panna Dolly i jej przyjaciele są w ciężkim położeniu".

Kroki zatrzymały się pod drzwiami.

Czytałam dalej: „Ty, Riley, i ja także. Nasze miejsce jest na tym drzewie, bo inaczej nie byłoby nas tutaj".

Spojrzałam na tytuł, nasłuchując jednocześnie, ale pod drzwiami panowała cisza. To była „Harfa traw" Trumana Capote'a, nie znałam tej książki. Wróciłam jeszcze raz do ostatniego zdania.

„Nasze miejsce jest na tym drzewie, bo inaczej nie byłoby nas tutaj".

Klamka poruszyła się lekko, zatrzymała, jakby ktoś z drugiej strony wahał się.

– Proszę – powiedziałam.

Wszedł Róża, zatrzymał się nade mną, złożyłam książkę i trzymałam ją okładką do góry, robiąc wszystko, by wyglądać tak, jakby mnie znienacka oderwano od pasjonującej lektury.

– Był Piotr. Widziałaś – stwierdził Róża.

Leciutko skinęłam głową i odstawiłam książkę na półkę, śledził ją oczyma. Nie było sensu udawać, że czytałam, skoro widział mnie w oknie. Wszystko nie miało sensu. Połączyły nas kłopoty i nasze miejsce było w tej wsi, bo inaczej nie byłoby nas tutaj.

– Pozwoliłem mu odejść, chociaż ukradł amulet.

Siedziałam drętwo, niezdolna nawet zadać pytanie.

– Oddał. Przez niego Czteropalcy uciekł na bagna. Ale potem pomógł nam. I oddał talizman. Pozwoliłem mu odejść.

Cdn.

PRZYGODY JONKI, JONKA I KLEKSA

PORWANIE KSIĘŻNICZKI

SCENARIUSZ I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

4

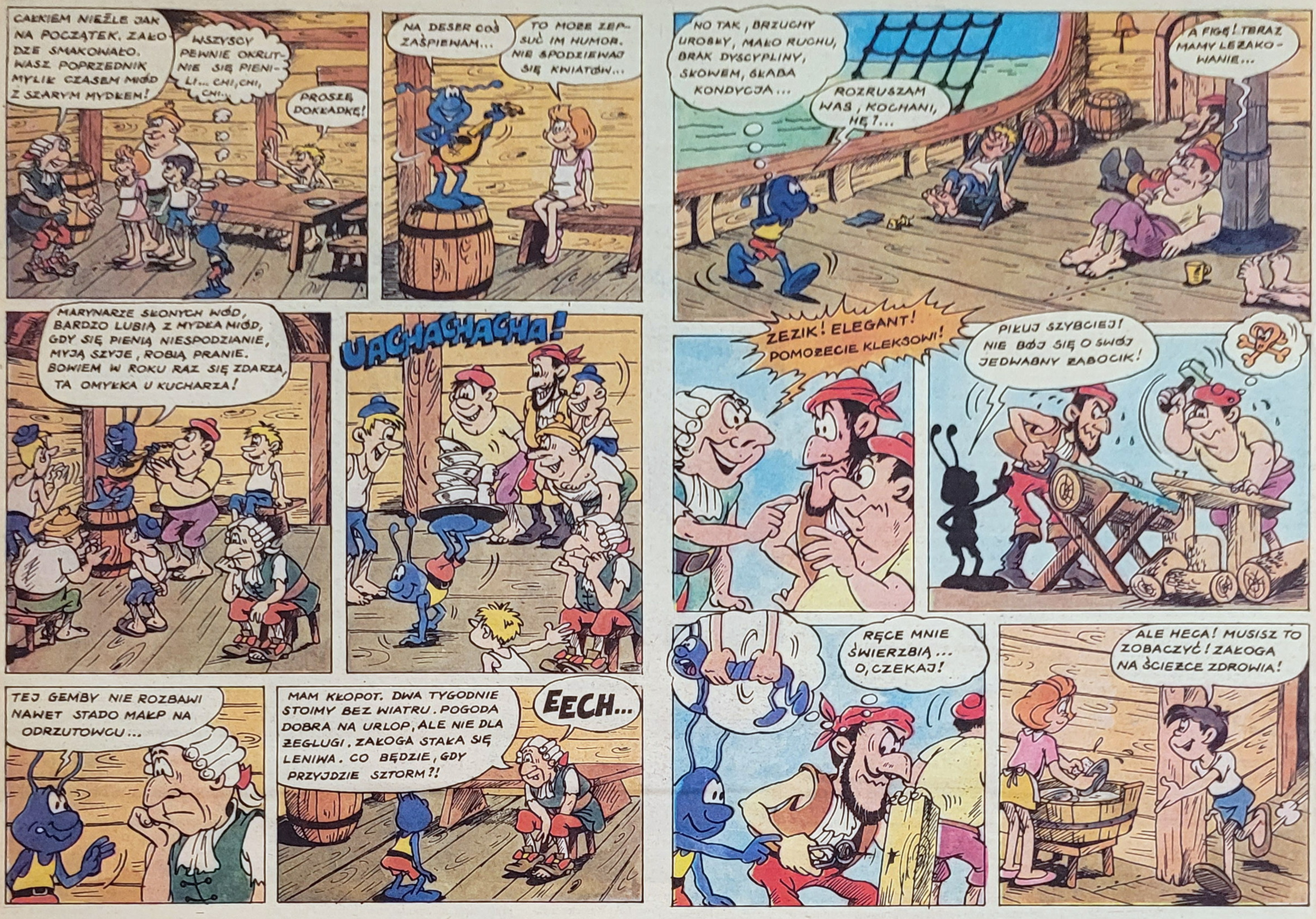

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)
TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A.
Telefony:
Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Inna Bójska

Opracowanie techniczne
Bogumiła Szczupakowska

Korekta
Barbara Zając

Nakł. 500292

DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 5313/G. Z-48

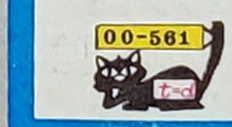

UŚMIECH NUMERU

– SĄSIEDZIE, to nie do wytrzymania: troje waszych dzieci siedzi na mojej czereśni!
– O, do licha, a gdzie to czwarte?

*

PEŁZNĄ koło siebie dwa węże:
– Słuchaj, czy ja jestem jadowity?
– A czemu pytasz?
– Ugryzłem się w język...

– Nie. Za późno.
– Nauczysz się. Marzenia same przychodzą, tylko trzeba dać im czas.
– A ty? – matka podawała jej talizman takim gestem, jakby odpychała go.
– Ja? Nie wiem. Też się uczę. Miałam za mało czasu.
– Ale czego chcesz?
Twarz matki zastygła tuż koło twarzy Szarookiej, nieco niżej, jej oczy szeroko otworzyły się i śledziły usta córki.
– Ja? Chcę być z ludźmi.
– Zawsze jesteś. Ty jesteś zawsze dla ludzi.
– Chciałabym bardziej – powiedziała Szarooka i zacisnąwszy palce na talizmanie szybko cmoknęła matkę w policzek. – Czy mogłybyśmy zajrzeć do tamtej szafy?

Matka zachichotała i natychmiast skinęła głową. Czekała na taką prośbę od wielu miesięcy. Szarooka ponad jej głową uśmiechnęła się do Rybaka. Spełniała pragnienie matki i pierwszy raz była ciekawa, co właściwie matka zgromadziła.

5.

Chłopiec spał niedługo. Położył się na plecach, osłonił oczy jednym ramieniem, a drugą ręką wyrzucił daleko za głowę. Oddychał prawie niedosłyszalnie. Siedziałam przy nim, bo w domu było pusto, tylko Szarooka pomagała swojej matce w jakichś gospodarskich robotach, których na pewno nie umiałabym zrobić, więc nawet nie oferowałam swoich rąk. Róża poszedł z Rybakiem i sąsiadem szukać Czteropalcego, Smarkul zniknął, prawdopodobnie próbował śledzić wyprawę ratunkową, a może zapoznawał się ze wsią, wcześniej nie miał na to czasu. Przed wyjściem poczciwie zajrzał do tego pokoju, popatrzył na chłopca i stwierdził, że nie będzie tu siedzieć, skoro chłopiec tak świetnie daje sobie radę ze spaniem.

– Ty przecież nie chcesz nigdzie wychodzić – stwierdziła moja siostra i nie dała mi czasu na odpowiedź. Zamknęła cicho drzwi. Po chwili usłyszałam tupot jej nóg na korytarzu.

Potem stwierdziłam, że wróciła z mokrymi włosami. Odpoczywała więc od wszystkich komplikacji, które nas zatrzymały na wsi, i nielegalnie, bez opieki dorosłych, wykąpała się w rzece.

Może dla niej wszystko już było jasne, skoro chłopiec się znalazł. Nie martwiła się o Czteropalcego, dla niej był dorosły i powinien sam sobie dać radę, dla niej może był nawet stary. O Piotrze zapomniała, kiedy stwierdziła, że jest koło mnie Róża. Dbała tylko o to, bym miała przy sobie męskie ramię – jakie, to już jej nie obchodziło. Chyba zresztą wolała Różę, bo zwracał na nią uwagę, czego nie mogłaby powiedzieć o Piotrze. Ale przede wszystkim chodziło o to ramię.

– Ty już wiesz, że dziewczyna bez chłopaka to takie nie wiadomo co – powiedziała i westchnęła. – Ja jeszcze na to czekam. Ale myślę, że w przyszłym roku i na mnie przyjdzie czas. Znajdę sobie jakiegoś z trzeciej klasy.

Chłopiec spał krótko, a kiedy się obudził, tak cicho, jak spał, raźno zeskoczył z łóżka, jakby już zupełnie zapomniał o dwudobowej włóczędze pod gołym niebem. Obudziły go głosy: tamci wrócili, a ja wędrowałam między oknem i drzwiami, próbując czegoś się dowiedzieć albo chociaż coś zobaczyć. Ale skoro wytrwałam przy nim tyle czasu, uważałam, że powinnam poświęcić jeszcze kilka minut. Jeśli tamci wrócili, to nie uciekną przecież. Przyszli we czworo. Stojąc w oknie, zobaczyłam Czteropalcego, wysokiego chłopaka w brudnych drelichowych spodniach i równie brudnej koszuli. Miał bliznę na czole, tyle tylko dostrzegłam, kiedy wchodził do domu. Ta blizna nie była wielka, ale odznaczała się jaskrawą czerwienią. Potem, gdy znów zobaczyłam Czteropalcego, zbladła, znacznie później

Dokończenie na str. 7